Nr. 132. Lwów — Wtorek dnia 12 Czerwca. Rok 1894.

Wychodzi w dni powszednie o godz. 4. po południu.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . 4 ct.
na prowincyi . . . 5 „
Numera z poprzednich miesięcy po 10 ct.

„Przegląd" jest do nabycia we Lwowie w obu Biurach sprzedaży dzienników i we wszystkich większych trafikach.

PRZEGLĄD
POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Cena prenum. na prowincyi: Miesięczna złr. 1·20 … Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy …
Nadesłane na trzeciej stronicy …

Dziś: św. Onufrego | Jeremia Jep.
Jutro: św. Antoniego | 1 Czerw. Just.

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**

Wschód słońca g. 4 m. 6
Zachód „ 7 „ 58
Długość dnia g. 15 m. 47
Przybyło dnia od wczoraj 0 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 11 czerwca.

Przesilenie rządowe na Węgrzech już się skończyło. W sobotę po południu Cesarz polecił p. Wekerlemu złożyć nowy gabinet i przedstawić listę ministrów. Z poprzedniego gabinetu ustąpili stanowczo hrabiowie Csáky, Tisza i Bethlen, wszyscy trzej zupełnie dobrowolnie, jako ludzie znużeni długim urzędowaniem. Pozostał p. Szilagyi, minister sprawiedliwości, który zachowaniem się podczas powtórnych obrad w sejmie nad ślubami cywilnemi zraził do siebie sfery dworskie i uważany był za niemożliwego na przyszłość. On sam uprzedził p. Wekerlego, aby wykluczył go z kombinacyi; o to również starało się liberalne stronnictwo, któremu chodziło głównie o zatrzymanie Wekerlego u steru. Lecz Wekerle nie mógł się zdecydować, bo po swej rezygnacyi ze wszystkich trzech rękojmi, których poprzednio domagał się od Cesarza, nie mógł się wyrzec jeszcze Szilagyi'ego, kodyfikatora i właściwego twórcy ustaw bezwyznaniowych. Powaga jego gabinetu byłaby przez to znacznie uszczuplona; opozycya miałaby niejako wskazówkę, że to jej przypisać należy dotkliwą porażkę. To moralne znaczenie dymisyi Szilagyi'ego przytłaczałoby nowy gabinet Wekerlego, któryby nie miał stanu trwałości. …

Zamiast hr. Csaky'ego wszedł do gabinetu br. Lorand Eötvös, a zamiast ministra przy boku cesarskim Ludwika hr. Tiszy stanął Juliusz hr. Andrassy, obaj synowie zmarłych już a znanych mężów politycznych, których Węgrom dała ostatnia epoka ich dziejów. Minister rolnictwa hr. Bethlen jeszcze nie ma następcy. Tekę jego objął chwilowo minister obrony krajowej jen. Fejervary, później zaś podobno będzie ona oddana znanemu rolnikowi i pisarzowi Aleksandrowi hr. Apponyiemu, który do walk politycznych wcale się nie mięszał i właśnie teraz przebywa gdzieś za granicą.

Przesilenie węgierskie wybuchło przed piętnastu dniami i nareszcie się skończyło — od biedy. Liberałowie nie uzyskali żadnych rękojmi i tym kosztem uratowali dla siebie Wekerlego, Cesarz zaś zezwolił zatrzymać w gabinecie p. Szilagyi'ego, aby nowy rząd nie wyglądał na jakiś smutny niedobitek poprzedniego gabinetu.

Dwa lata obradowała w Belgii konstytuanta nad reformą wyborczą i nareszcie po nadzwyczajnych trudnościach uchwaliła ją w ten sposób, że ostatnia ustawa z tych kilku, które społem tworzą ową reformę, przeszła tylko dlatego, iż nie oglądano się, czy jest w izbie najmniejszy określony konstytucyą komplet. *Indépendance Belge* zapewnia, że podczas ostatnich rozpraw znajdowała się niekiedy czwarta część deputowanych i że ani razu podczas głosowania nie było w sali minimalnego kompletu. Ale patrzano na to przez palce, byle przecież skończyć niesłychanie trudne dzieło, a trzeba było skończyć jak najprędzej, bo zasadnicze ustawy głoszą, że konstytuanta może trwać najdłużej dwa lata, poczem natychmiast musi być zwołany zwyczajny parlament, wybrany wedle nowych reguł. Otóż konstytuanta obradowała równo 22 miesiące; w sierpniu kończył się jej prawodawczy okres, a tu jeszcze brakło ustawy o ordynacyi wyborczej i brakło czasu na ułożenie list wyborczych, na agitacyę, na reklamacye, na same wybory do parlamentu, na ich sprawdzenie i t. d. Pojawił się był nawet wniosek, postawiony przez radykała, aby konstytuanta osobną uchwałą przedłużyła swe trwanie na czas nieokreślony, ale na takie łamanie zasadniczych ustaw, na takie sądzenie we własnej sprawie, dla których przecież nie wybierano konstytuanty, nie mogli się zgodzić deputowani, — woleli oni, przyjąwszy pobieżnie rządowy projekt ordynacyi wyborczej, uchwalić go tylu głosami, ile ich zasiadało w sali i nie podnosić kwestyi z powodu braku kompletu.

Wszystko to dowodzi, że każda reforma wyborcza jest niezmiernie trudna i że musi zająć dużo czasu. Jest to nauka dla tych niecierpliwych w Austryi, którzy chcieliby załatwić tę sprawę naglymi wnioskami i oskarżają koalicyjny gabinet o jej naumyślne odwlekanie, reformy, poruszonej przez p. Steinbacha dopiero przeszłej jesieni. Ich niecierpliwość świadczy o tem, że sami nie zdają sobie sprawy z rozmiarów i doniosłości takiej reformy i z jej nadzwyczajnych trudności. W Belgii, mającej tylko półszosta miliona ludności i rozpadającej się tylko na dwie narodowości, dyskutowano teoretycznie o reformie wyborczej lat ośm, a dwa lata z górą przeprowadzała ją praktycznie konstytuanta wyłącznie do tego powołana. … liczy 24 milionów ludności, obejmuje kilka narodów całkiem odrębnych i składa się z kilkunastu krajów, których interesa, obyczaje, zdolności i dążności są zupełnie inne. Aby to wszystko sprowadzić do jednego mianownika, nikogo nie skrzywdzić ani pod narodowym, ani pod ekonomicznym względem, i naprawdę stworzyć rzecz, ułatwiającą pokojowy rozwój stosunków konstytucyjnych, potrzeba oczywiście bez porównania większego przygotowania, obszerniejszych studyów i większej rozwagi, niż potrzeba było w Belgii. Rozumieją to wszyscy, nie wyłączając nawet Pernerstorfer'a i Kronawettera, a jeśli pomimo tego jadą na koalicyę i oskarżają ją o opieszałość, to jeno dlatego, że potrzebują środka do warcholskiej agitacyi między ludnością, bo im idzie nie o tworzenie czegobądź dobrego, lecz o burzenie stosunków i rozsadzanie państwa. Są to zwyczajni apostołowie „łagodnej anarchii", negacya jest ich żywiołem i jedyną racyą ich bytu.

Kosztem Belgii będzie teraz poznawała Europa wartość bardzo oryginalnej konstytucyi, opierającej się na zasadzie powszechnego głosowania, ale zmitygowanego systemem „pluralnym", który polega na tem, że każdy dorosły, niekarany kryminalnie i niepozbawiony głosu za uchylanie się od wyborów Belg będzie miał głos jeden, nadto średnio majętni będą mieli jeszcze jeden, a bogaci jeszcze dwa głosy. Inną oryginalnością nowej belgijskiej konstytucyi jest system „proporcyonalny", który wprowadzono dlatego, aby wszystkie stronnictwa krajowe, w stosunku do swej siły, miały przedstawicieli w parlamencie. Będzie się to dokonywało w ten sposób, że głosy wyborcze, oddane na listy różnych stronnictw, będą odpowiednio uszykowane podług ich wzajemnego arytmetycznego stosunku, a potem się określi, ile na każdą listę wypada deputowanych. Naprzykład, jeśli pewien okręg wybiera pięciu posłów, a wyborców jest wszystkiego stu, to na jednego posła wypada głosów dwadzieścia. Jeśli tyle głosów otrzymała lista, na którą najmniej głosowano, to z niej zostaje deputowanym kandydat zapisany na pierwszem miejscu, a czterej następni kandydaci odpadają. Bierze się potem listę innego stronnictwa; przypuśćmy, że padło na nią czterdzieście głosów, a więc pierwsi dwaj zapisani na niej kandydaci zostają posłami. W ten sposób komisya wyborcza zastanawia się nad listą każdego stronnictwa i przyznaje jej tylu deputowanych, ilu wypada ze średniej arytmetycznej, — a tak parlament rzeczywiście może się stać bardzo wiernem odbiciem podziału kraju na stronnictwa. Uchylono w ten sposób tę niedorzeczność systemów wyborczych, że połowa obywateli plus jeden warta tyle, co wszyscy obywatele, a połowa ich minus jeden nic nie warta; uchylono także ów nonsens i oczywistą niesprawiedliwość, że parlament, wybrany przez połowę obywateli plus jeden, mówi o sobie, iż jest przedstawicielem wszystkich, chociaż cała połowa minus jeden jest jego przeciwniczką. Zamiast systemu połówkowego z plusem albo minusem jednostki, wprowadzono w Belgii system podziału wyborców od trzech aż do pięciu części, także z plusem lub minusem jednostki. Jest to oczywiście system sprawiedliwszy, niż ów połówkowy, ale zupełnie sprawiedliwym nie jest i kiedyś będzie tak samo namiętnie zwalczany jak dziś zwalczano w Belgii ten połówkowy. Kiedy zasada jest błędna, to daremne są starania o jej sprawiedliwe wykonanie; zawsze na niem będzie spoczywał cień błędu. Po różnych próbach i przeróbkach narody się przekonają, że prawo wyborcze, wynikające z faktu, że ktoś żyje, dorósł i w kryminale nie siedzi, jest niedorzecznością i szkodą społeczną.

Poczucie niesprawiedliwości, tkwiącej w podziale wyborców już nie na dwie części, ale na trzy, cztery i pięć, ogarnęło już teraz prezesa belgijskiego gabinetu p. Beernaerta. Rozumował on w ten sposób, że jeśli na listę pewnego stronnictwa wypadły przypuśćmy dwa mandaty poselskie, to dlaczego deputowanymi mają być pierwsi dwaj kandydaci wydrukowani na liście, a nie naprzykład piąty lub siódmy? Można na to odpowiedzieć, że tak postanowił komitet wyborczy stronnictwa, który listę układał; on przecie wiedział, kogo w pierwszym rzędzie chce mieć w parlamencie. To prawda, ale zdaniem Beernaerta komitety wyborcze nie mają prawa nawet w ten sposób krępować woli wyborców. Więc zaprojektował jeszcze metodę „specyalnego rekomendowania" kandydatów. Wyborca, głosując na jakąś listę, podkreślałby na niej nazwiska niektórych kandydatów i to właśnie byłoby „specyalnem rekomendowaniem", uwzględnianem przy obliczaniu szans każdego kandydata. A jak każdy wyborca mógł mieć jeden, dwa, lub trzy głosy, tak również mógł tylko dawać pewną liczbę rekomendacyi, nie więcej, ani mniej, niż mu przyznał cenzus. Wszystko to wymagało nadzwyczajnej kontroli i czyniło wybory mechanizmem tak skomplikowanym, że niktby w nich ładu nie doszedł i protesta byłyby nieskończone. Więc konstytuanta odrzuciła ten projekt ordynacyi wyborczej, poczem Beernaert z radością podał się do dymisyi. Było to w zimie. Od tej pory łamano sobie głowę nad ową ordynacyą i nic nie umiano wymyśleć, a tymczasem zbliżał się koniec prawodawczego okresu konstytuanty. Wówczas to nowy gabinet, stojący pod kierunkiem p. Burleta, zaproponował zachować starą ordynacyę z drobnemi zmianami rozległości okręgów wyborczych, a znudzeni deputowani zgodzili się na to.

Tak maluczka Belgia mozoliła się od roku 1892 nad swą reformą wyborczą i w końcu przyjęła systemy pluralny i proporcyonalny, a wszystko inne zostawiła po dawnemu, wskutek czego cała rewizya konstytucyi stała się zlepkiem postanowień starych i nowych pomysłów, — rzecz niejednolita, która już teraz podlega surowej krytyce. Znowu możemy tu powtórzyć, że jest to dowodem, jak niezmiernie trudną jest rzeczą każda reforma wyborcza i jak długich studyów ona wymaga, aby organizacyi niedoskonałej, ale już znanej, z którą się żyło, nie zastąpić również niedoskonałą, ale całkiem nową i o wiele trudniejszą.

Rosyjska prasa zaczęła nagle traktować ostatnie wypadki w Bułgaryi nader życzliwie i winszować księciu Ferdynandowi, iż się uwolnił z pod kurateli Stambułowa, który był takim wrogiem Rosyi, że nie mowy nie mogło być o jakiemkolwiek pogodzeniu się petersburskiego rządu z Bułgaryą. Teraz zaś, jeżeli książę Ferdynand okaże się rozważnym i praktycznym politykiem, to może z czasem uda mu się uległalizować swe stanowisko. Jest to zwrot w poglądach petersburskich bardzo znaczący, zwłaszcza, że berlińskie dzienniki poczęły rozgłaszać o możliwości takiego układu, iżby Serbia oddana była pod wpływy austryackie, a Bułgarya pod rosyjskie, co jakoby zresztą bardziej utrwaliłoby pokój, a tylko … obawę o przyszłość. Są to odgrzane projekta podziału półwyspu bałkańskiego na tak zwane „sfery wpływów". Teraźniejsza myśl powrotu Bułgaryi pod rosyjskie skrzydła może zastanawiać tylko z tego powodu, że według świadectwa stambułowskiej *Swobody*, russofilizm nagle się w księstwie obudził i występuje z wielką siłą. Dziennik ten donosi, że w różnych stronach kraju odbywają się manifestacye na rzecz Rosyi. Rozlegają się krzyki: „Nie chcemy niemieckiego księcia, chcemy cara!" Agitatorzy rozgłaszają, że silna armia rosyjska już się zbliża się ku bułgarskim granicom i że w Petersburgu postanowiono budować w księstwie różne koleje, zakładać szkoły wszelkiego rodzaju, utworzyć flotę bułgarską, wszystko to za rosyjskie pieniądze, co oczywiście bardzo się ludowi podoba. To też, jak *Swoboda* zapewnia, wszędzie w kraju zapanowała anarchia, nikt władzy nie słucha, każdy czeka nadejścia Rosyan i odpowiednio się nastraja. Ponieważ nowy rząd postanowił rozpisać wybory do nowego sobrania, przeto nie ulega wątpliwości, że przy takiem bałamuctwie opinii dadzą one sobranie russofilskie, a wtedy będzie koniec panowania ks. Ferdynanda i niepodległości kraju.

Zdaje się jednak, że *Swoboda* przedstawia stan rzeczy bardzo tendencyjnie, przesadza znaczenie manifestacyi, które rzeczywiście być mogły, skoro niewątpliwie w Bułgaryi zawsze byli russofile, którzy za rządów Stambułowa musieli milczeć, a teraz wyhałasować się mogą. Synod przedstawił się księciu i zapewnił go o zupełnej uległości narodu, który się cieszy, że posiada następcę tronu, a więc narodową dynastyę. Liczne deputacye, przybywające z prowincyi do księcia, również zapewniają go o ufności, jaką naród pokłada w nowym rządzie.

Wiec katolicki.

Poznań 8 czerwca.

Czterodniowe obrady wiecu katolików polskich zamknięto wczoraj. Doniosłość tego wiecu dla naszego życia narodowego jest nieoceniona. Tak licznego zebrania, któreby się składało z wszechstronnej reprezentacyi ludu polskiego z bliska i z daleka, nie było jeszcze w Poznaniu. Wiec ten okazał, iż tylko krzyż, tylko idea katolicka zdolna jest sprowadzić masę ludu polskiego do jednego mianownika. Posiew rzucony na wiecu wyda niewątpliwie błogie owoce, a jeżeli się zamieni w czyn choć drobniutka część tych życzeń, które ujęto na wiecu w formę rezolucyi, już to będzie dla narodu naszego zdobycz znamienita.

Ogrom pracy dokonanej przez wiec ocenić może ten tylko, kto był na nim, słuchał znakomitych wywodów naszych szermierzy za wiarę i narodowość i widział, jak wszechstronną a gorliwą była dyskusya. Wszystkich referatów oczywiście podać nie mogę, gdyż zebrałaby się z tego spora księga, pragnę jednak choć kilka najważniejszych podać w streszczeniu. Wielkie zajęcie budził odczyt posła Dra Zygmunta Dziembowskiego o szkole. Prelegent roztrząsał przedewszystkiem pytanie: Jakim powinien być charakter szkoły?

Nieprzyjaciele wiary katolickiej proponują zasadniczo dwa systemy. Według ich życzeń szkoła powinna mieć charakter bezreligijny, albo bezwyznaniowy. System szkoły bez nauki religii idzie najdalej, żąda usunięcia zupełnego wyznaniowej nauki z wszystkich szkół, bądź to w tej formie, iż naukę religii uważa za rzecz zupełnie prywatną, wykluczoną z planu szkoły, bez uwzględnienia poszczególnych wyznań. … Niebezpieczniejszym jest drugi kierunek, żądający szkoły wyznaniowej, tak zwanej symultanki. Zwolennicy szkoły bezreligijnej poznali, iż nie łatwo im przyjdzie sprowadzić w zastosowanie praktyczne pomysł szkoły bezreligijnej, dla tego przedstawili nowy rodzaj szkoły, tak zwaną symultankę, gdzie dzieci różnych wyznań uczyć się mają pospołu, a nauka religii osobno według wyznań ma być udzielaną. Sumienny nauczyciel nie powinien pominąć żadnej sposobności, aby nie zwrócić uwagi dziecka na zasady naszej wiary, czy to z okazyi przewinień dziecka, czy też przy sposobności wykładu innych przedmiotów.—Kształcenie takie dziecka jest niemożliwem w szkole bezwyznaniowej. Uprzytomnić sobie wypada, iż w symultance udzielają nauk nauczyciele różnych wyznań, a czyż nauczyciel protestancki może mówić o Lutrze, nie obrażając uczuć religijnych katolickiego dziecka? Ale nie chodzi tu jedynie o kwestyę obrażonych uczuć — lecz wprost o zachwianie wiary. Młody umysł nie posiada odpowiedniego zmysłu krytycznego, jakiż chaos powstać musi w tej małej główce, gdy jej różni nauczyciele wprost sprzecznych udzielają nauk.

W obec tego każdy prawy katolik domagać się musi, aby charakter szkoły był wyznaniowym, ażeby dzieci nasze katolickie uczyły się razem pod opieką nauczycieli katolików. Jest obowiązkiem rodziców, aby się domagali uznania powyższej zasady, prawem natury ciąży na nich zobowiązanie, aby nietylko starali się o materyalne potrzeby dziatwy, ale o jej umysłowe i religijne wykształcenie.

Równie prostem i słusznem jest nasze dalsze żądanie, aby wykładu religii udzielano wyłącznie w języku rodzinnym dziecka.

Bardzo ważną kwestyę poruszył p. Michał Więckowski w odczycie swym o wychowaniu sierót, przyczem wykazał jak często dzieci giną dla wiary lub stają się później zbrodniarzami dla tego jedynie, że władza opiekuńcza w złe ręce oddała je na wychowanie, najczęściej do protestantów lub do ludzi, którzy dla zysku jedynie przyjmują dzieci w swój dom i wcale się o nie nietroszczą. W sprawie tej uchwalił wiec cały szereg rezolucyi, w których żąda, aby władza duchowna wpływała na naczelne władze sieroce, ażeby sieroty polskie katolickie czy to w zakładach sierocych, czy też w prywatnych domach wychowywane nie doznawały uszczerbku pod względem religijnym i językowym, ażeby władze sieroce przy wyborze wychowawców dla sierót zasięgały zawsze opinii miejscowego duchowieństwa katolickiego, ażeby zakłady sieroce były wyznaniowe, ażeby Polacy katolicy przyjmowali chętnie opieki nad sierotami polskiemi katolickiemi i ażeby zamożniejsi Polacy przyjmowali do swych domów sieroty polskie katolickie na wychowanie i w tym celu zgłaszali się do odnośnych władz.

Bardzo gorliwie zajmował się wiec kwestyą pojedynków, a znakomity wykład w tym przedmiocie miał Dr. Mizerski. Wykazał on, że świat przez kilka tysięcy lat nie znał pojedynków w teraźniejszem znaczeniu słowa. Rozlewano wprawdzie krew bratnią, ale były to spotkania doraźne. Dawni Grecy i Rzymianie, pokrzywdzeni na honorze, dochodzili praw

---

1)

ŻABIAK

NOWELA

przez **O. Ludwika Colomę T. J.**

I.

Kończyła się jesień i cała natura przybierała ten pozór słodki a smętny, właściwy wszystkiemu dobru, jakie się kończy: liście opadają, kwiaty więdną, światło blednie, mgły włóczą się po ziemi, rzeki zwalniają biegu, nim je lód zupełnie znieruchomi, a duszę ogarnia głęboka melancholia, płynąca z tajemnych podobieństw tych obrazów natury z życiem ludzkiem. Tak samo mijają lata, jak liście z drzew lecące, tak więdną uczucia, pierzchają złudzenia, wątleje umysł, życia prąd wartki słabnie, aż lód śmierci zmieczuli go na wieki!...

Ten odcień smutku padał na górzystą okolicę R* i nadawał większą jeszcze grozę i ponurość najeżającym ją szczytom. Wiedzie tamtędy wąska, mało uczęszczana dróżka, która wijąc się wężem po spadzistościach, łączy się nieopodal przydrożnej karczmy z bitym gościńcem, z Kadyksu do Madrytu wiodącym.

Gdyby jakieś inne, oprócz Boskiego, spojrzenie mogło było przeniknąć pewnego listopadowego wieczora w głąb dzikiego jaru, którego dnem biegnie owa dróżka, byłoby się zatrzymało ze zdziwieniem, a może z rodzajem przestrachu, na grupie podejrzanego wyglądu, złożonej z mężczyzny, kobiety i dziecka, szybko posuwającej się naprzód.

Mężczyzna był ślepcem odpychającej powierzchowności; stary, pilśniowy kapelusz, o poszarpanych i zatłuszczonych skrzydłach, ocieniał jego twarz ponurą, popielata burka, połatana i brudna, której rękawy, związane na końcach sznurkami, służyły za sakiew, okrywała go, odsłaniając nogi, o potężnych łydkach, wykrzywione trochę, jedne z tych, którym zdaje się czegoś brakować, jeśli nie dźwigają kajdan. Na ramieniu niósł zabrudzoną gitarę, jedną ręką opierał się na wysokim, goralskim kiju, a drugą trzymał się spódnicy prowadzącej go kobiety. Ta była tego samego wieku i wyglądu, co jej towarzysz; na twarzy jej, szkaradnie oszpeconej ospą, widniały ślady nędzy i występku; szła z trudnością, niosąc na plecach wielkie zajdy, pełne, jak się zdawało, gałganów, przyborów kuchennych i innych rupieci.

Z tyłu za nimi biegł zadyszany ośmioletni chłopak, mający za całe ubranie podarte, krótkie spodenki i koszulę w łachmanach, przez którą przeglądało jego ciało białe, lecz brudne, podobne do zakopconej słoniowej kości.

Niósł on także na plecach tłómok, za ciężki na jego wiek, pełen drukowanych piosenek i romansów i musiał biedz ciągle, aby nadążyć posuwającej się szybko naprzód parze; chwilowo jednak zatrzymywał się, okryty potem, bez tchu i widząc, że tamci nie zwalniają kroku, wołał rozpaczliwie:

— Mamo, mamo! Nie mogę już!

Kobieta wtedy odwracała twarz wykrzywioną złością, krzycząc:

— Ja ci tu dam, przeklęty bębnie! Ruszaj mi zaraz!

Ślepiec odwracał się także i grożąc mu kijem, mówił cicho do kobiety z przerażającem okrucieństwem w głosie:

— Roztrzaskaj mu głowę, Cachana! Skręć mu kark i skończymy z nim na zawsze!

Kobieta zaciskała pięści, klnąc i narzekając i przyspieszała jeszcze bardziej kroku. I tak szli po tej kamienistej, okropnej drodze, podobni do dwóch szatanów, wlokących za sobą niewinną duszę.

Nagle zatrzymali się oboje na brzegu drogi; zamienili między sobą słów kilka, żywo gestykulując i skręciwszy w bok, poczęli wdrapywać się na spadzistą ścieżkę w górę wąwozu, wśród zarośli wydeptaną.

Dziecko uczyniło wtedy rozpaczliwy wysiłek i poczęło biedz, co sił, lękając się, że lada chwila towarzysze znikną mu z oczu za krzakiem.

Cachana szła szybko, jak gdyby świadoma drogi, ciągnąc za sobą ślepca; ale kręta, pełna gałęzi i wybojów ścieżka utrudniała jego chód niepewny, co pozwalało dziecku trzymać się z niemi jako tako w mierze.

W ten sposób zagłębiali się w coraz gęstszy i dzikszy las, aż doszli do naturalnej groty, przytułku pasterzy i bandytów, utworzonej w zagłębieniu dwóch skał, które zewsząd zamykały horyzont, pozwalając widzieć tylko szmat nieba, pokryty sinemi chmurami.

Silny wiatr, podnoszący się w tej chwili, pędził je przed siebie z ponurym świstem.

Cachana zrzuciła na ziemię zajdy, nie rozwiązując ich i zaczęła rozglądać się i chodzić na wszystkie strony z jakimś złowrogim niepokojem, podobnym do lęku, jaki ogarnia zbrodniarza przed popełnieniem występnego czynu.

Las osuwający się w dół prawie prostopadle za skałami, tworzył rodzaj kaskady, której dnem płynął wartki strumyk; można było tam zejść, ale z wielkim trudem.

Cachana wróciła do groty z pękiem suchych gałęzi, pozbieranych na ziemi. Ślepiec usiadł na odłamku skały, położył kij obok siebie, wyjął małą torebkę z króliczej skórki, dobył z niej hubkę i krzesiwo i zapalił wstrętnie brudną, jak wszystko, co do niego należało, fajkę.

Po niejakiej chwili nadbiegł zadyszany dzieciak. Rzucił się na ziemię w grocie i zaczął rzewnie płakać.

Cachana pochwyciła go brutalnie za włosy i podniosła.

— Cicho bądź, Żabiak, słyszysz, cicho! — zawołała, zrywając mu z pleców tłomok z książkami.

Chłopak rozkrzyczał się głośniej pod czułem dotknięciem matki, a ślepiec zaczął się wykrzywiać ze złości, jakby opętany od złego ducha.

Cachana, klnąc i złorzecząc, wydobyła z zajdów kawałek chleba, drewniany dzbanek i zardzewiały żelazny kociołek.

— Cicho, bębnie przeklęty! — zawołała, ciskając dzbanek dziecku. — Cicho! Bieżaj po wodę na zupę.

— Nie pójdę! — odpowiedział dzieciak, rzucając się znowu na ziemię.

Kobieta kopnęła go z gniewem.

— Nie pójdziesz? Ja cię tu zaraz rozumu nauczę! Ruszaj co żywo, bo ci kości połamię.

— Nie pójdę! boję się!

— Boisz się? A potrafisz wyrywać zęby powieszonym. No, żywo, bo jak stracę cierpliwość...

— Nie mogę, matko, nie mogę! — jęczało rozpaczliwie dziecko, pokazując jej sine, obolałe, pokrwawione stopy.

— Jak nie możesz na nogach, to rźnij na czworakach.

— Nie pójdę!

— Żabiak, nie doprowadzaj ty mnie do złości!... żebyś mi duszy w rękach nie zostawił!...

Ślepiec nic się nie odzywał, ale usłyszawszy energiczne: „Nie pójdę!" — zaklął straszliwie i z taką furyą cisnął kijem, że złamał się na dwoje o skałę; poczem omackiem skierował się ku chłopcu, wyciągając przed siebie swe ohydne, do szponów podobne palce, jakby go niemi chciał rozszarpać w kawałki.

Przerażony dzieciak skulił się i zdrętwiał ze strachu; ale Cachana rzuciła się, jak megera, na ślepca i jednem pchnięciem cisnęła go na skałę, na której przedtem siedział.

— Zostaw go! — wrzasnęła — albo ci te ślepe gały wydrapię!

Wtedy wystraszony dzieciak wziął dzbanek i wydając okrzyk bólu i złości, spuścił się ku strumieniowi, czepiając się krzaków, aby nie spaść.

Ale w miarę, jak schodził, ból i złość znikały w nim przed ogarniającym go strachem: dzika pustka tych porosłych gąszczem wyniosłości, piętrzących się dokoła niego, głęboka cisza, przerywana tylko poświstami wiatru, czarne chmury, przewalające się w zapadnięty coraz gęstszy mrok — wszystko to składało się na całość, mogącą zdjąć trwogą każde serce, a cóż dopiero biednego ośmioletniego dziecka.

Zsunąwszy się jako tako w dół, Żabiak położył się na ziemi, aby napełnić dzbanek w bieżącej szybko wodzie, poczem, czerpiąc siły w strachu, zerwał się i zaczął, jak mógł najspieszniej, drapać się pod górę z powrotem.

Ale gdy wydźwigał się wreszcie na wąską płaszczyznę, na której znajdowała się grota, stanął, jak wryty, otwierając swe piękne, wielkie oczy.

Grota była pusta, w głębi jej widać było tylko pęk suchych gałęzi i złamany na dwoje kij ślepca.

Dzieciak upuścił dzbanek i obracając na wszystkie strony swój wzrok wylękły, drżący, jak listek, zaczął wołać z największą rozpaczą i trwogą:

— Mamo! mamo! Wuju Canijo!

Nikt mu nie odpowiedział. Dziecko załamało swe chude rączyny i wybuchnęło temi gorzkiemi łzami niepocieszonego bólu i bezgranicznej rozpaczy, jaką w duszy sprawia opuszczenie, straszne opuszczenie, jedyne, jakie zdołało wyrwać z ust Człowieka-Boga Jego jedyną także skargę na tej ziemi. Łzy takie bywają u człowieka karą lub prośbą, u dziecka zaś jedną z tych niezbadanych dróg, jakiemi się kieruje Opatrzność.

(Ciąg dalszy nastąpi).

swoich na drodze legalnej. Pojedynki wodzów w obec gotowych do boju wojsk miały szlachetny cel zredukowania wojny do minimalnych rozmiarów. Ujemna zasługa zaprowadzenia pojedynków prawdziwych przypada w udziale szczepowi germańskiemu. Pierwsze ślady pojedynku napotykamy w V wieku w Burgundyi. Zachodził on pierwotnie jako jedna z form t. zw. sądów Bożych. Nadużywano go najwięcej w X w., później zaczęto ograniczać pojedynki sądowe, które w XIII w. ceremoniałem swym dużo przypominały turnieje rycerskie. Sport junacki przetworzył niebawem naturę ich i nadał im charakter pomsty prywatnej za obrazę honoru. Pierwszy taki pojedynek zaszedł w r. 1250 we Francyi. Z rozluźnieniem obyczajów przeobraziła się nieskazitelna godność rycerza chrześcijańskiego w fałszywy punkt honoru. Odtąd chwast pojedynku przez 6 przeszło wieków pleni się we wszystkich krajach chrześcijańskich to bujniej, to słabiej, mimo stanowczego potępienia ze strony Kościoła i mimo surowych kar świeckich. W Polsce obyczaj narodowy nie sprzyjał pojedynkom sądowym. Pojedynków prywatnych zabroniono w r. 1588, a w r. 1671 odnowiono ten zakaz. Król Jan III był wielkim nieprzyjacielem pojedynków. Za Stanisława Augusta i za Księstwa Warszawskiego zagęściły się krwawe szermierki.

Wszystkie prawie nowoczesne prowodawstwa stanowią kary na pojedynki, mimo to zdarzają się one dziś wszędzie, z wyjątkiem Anglii. Kary są dość lekkie, a panujący łagodzą je jeszcze bardziej w praktyce. W wojsku pojedynek ma nawet zupełne prawo obywatelstwa. Chwiejność władz i brak konsekwencyi w karceniu pojedynków ztąd pochodzi, że społeczeństwo na przekór wszystkim zakazom kościelnym i państwowym uważa je za rzecz konieczną.

Lecz czyli pojedynek ma istotnie racyę bytu? Prawo Boże stanowczo potępia pojedynek, który niczem innem nie jest, jak prywatną umową dwóch nienawiścią ku sobie pałających osób, że w danej chwili wśród możliwie równych warunków, będą wzajem godziły na życie swoje. W umowie takiej tkwi podwójny grzech zabójstwa i samobójstwa, których zabrania piąte przykazanie. To też Kościół od samego początku potępił pojedynek. W IX wieku zakazują pojedynków sądowych Papieże Mikołaj I, Stefan IV, a w XII wieku Celestyn III. Przeciw pojedynkom prywatnym wystąpił w XVI wieku bardzo surowo sobór trydencki, rzucając ekskomunikę na wszystkich uczestników, a nawet i na świadków pojedynku. Zakazywali go także Juliusz II, Leon X, Klemens VII, Pius IV, Grzegorz XIII i Klemens VIII. W XVIII wieku potępił Benedykt XIV doktrynę niektórych moralistów, że oficerowie pojedynkujący się, nie podpadają karom kościelnym. W naszem stuleciu podnieśli głos wymowny przeciw pojedynkom Pius IX i świeżo (1891) Leon XIII. Pojedynek sprzeciwia się także rozumowi. Celem jego jest skarcenie obraziciela i naprawa własnego honoru. Lecz czy cel ten bywa osiągniętym? Postawienie przeciwnika przed bramą wieczności jest bezwątpienia pewnym rodzajem kary, ale wszakże i mściciel obrażonego honoru dobrowolnie nad tą samą staje przepaścią. Zresztą pojedynek nie jest suplementem uczciwości. Fałszywy gracz pozostanie nadal oszustem w opinii publicznej, choć oskarżyciela swego zgładzi na honorowej arenie.

Pojedynek jest nie mniej i dla tego niedorzecznym, że nie zna żadnego stopniowania kary. Obrażony bowiem zarówno przeciw arogantowi, co mu się tylko nie odkłonił, jak przeciw potwarcy i uwodzicielowi drogiej mu osoby feruje w zasadzie najwyższą karę, to jest karę śmierci.

Pojedynek przedstawia się wreszcie jako bunt przeciw **porządkowi społecznemu** i powadze państwa, którego kardynalną zasadą jest, że nikt sam sobie nie może wymierzać sprawiedliwości. Obrońcy pojedynków wytaczają atoli przeciw temu aksyomatowi dość poważny argument, że państwo, dając prawną opiekę jedynie honorowi obywatelskiemu, zniewala stany wyższe do szukania własnej pomocy w przypadkach, gdy naruszonym bywa ów niedający się paragrafami określić „punkt honoru". Napróżno moraliści wykazują jasno jak na dłoni, że chorobliwie wydelikacony honor dżentelmański jest nowożytnym bałwanem. Napróżno wymagają heroizmu od kłaniających mu się stanów wyższych, już to, aby obrazy tego idealnego honoru przebaczano sobie wzajem, lub legalnemi naprawiano środkami, lub też by odrzucano wyzwania do krwawej szermierki mimo niesławy, jaką obałamucone społeczeństwo piętnuje taki postępek. Niestety! tyrańska opinia publiczna zagłusza głos rozsądku i sumienia. Ludzie są ludźmi. Tutaj winno — zdaniem referenta — państwo wyjść ze swej biernej roli i zamiast karać tylko połowicznie i nieszczerze pojedynki, zatamować ich źródło, dając skuteczniejszą prawną osłonę owej przesubtylizowanej godności osobistej i to w dwojaki sposób. Nasamprzód winno zatem zaprowadzić z ramienia swego obowiązkowe są-dy honorowe, któreby się składały z osób powołanych zaufaniem obu stron i pod przewodnictwem wyższego sędziego sądziły lżejsze honorowe zatargi w klasach wyższych z prawem skazywania winnych na wysokie grzywny lub fortecę. Z drugiej strony należy podnieść minimum kary na czynną obrazę honoru (np. policzek) i występki przeciw moralności, wnoszące sromotę w nieposzlakowane rodziny, do kilku lat więzienia. Zapach kryminału, jaki natenczas owionie owe ciężkie obrazy honoru, da niezawodnie dostateczną satysfakcyę pokrzywdzonemu nawet w opinii publicznej. Równocześnie trzeba z kodeksów karnych wyrzucić pojęcie pojedynku jako osobnego przestępstwa, tak, iżby (podobnie jak w Anglii) zabicie lub zranienie przeciwnika w pojedynku podpadało pod kategoryę dokonanego lub usiłowanego morderstwa lub zabójstwa. Natenczas pojedynki ustaną, tak jak w bieżącem stuleciu ustały w Anglii.

Zanim ta reforma prawodawstw nastąpi, winni ojcowie chrześcijańscy wpajać w synów swoich przekonanie, że pojedynek jest grzechem śmiertelnym i zarazem wielkiem złem społecznem i że na każdy sposób unikać go należy.

Ks. patron Wawrzyniak mówił bardzo rozumnie o potrzebie oszczędności wśród ludności katolickiej i przypomniał, że oszczędność niekoniecznie winna się rozpoczynać od sum większych, od talarów, lecz rozpocząć należy od groszy, a z czasem takie oszczędności do pokaźnej sumy dojdą.

Ks. Kużaj mówił o potrzebie wydawania dobrych książek do czytania dla dzieci, a więc w rezolucyi swej odwołał się w tej mierze do uczuć religijnych i do patryotyzmu wydawców polskich, aby przez wydawanie niereligijnych książek nie szerzyli zarazy moralnej wśród naszych dziatek.

Powzięto jeszcze długi szereg rozmaitych innych uchwał, z których na szczególne podniesienie zasługuje uchwała, iż należy starać się u Stolicy Apostolskiej o kanonizacyę błogosławionych Patronów polskich, aby w tych trudnych czasach naród miał chwalebnych orędowników przed tronem Bożym. W tym celu uchwalono utworzyć komitet, który ma się zająć zbieraniem funduszów na ten cel. W pierwszym rzędzie uchwalono starać się o kanonizacyę błogosławionego Andrzeja Boboli.

W końcu przyjął wiec rezolucyę, uznającą potrzebę założenia w Poznaniu „polskiego domu katolickiego", który byłby miejscem zbornem dla wszystkich spraw katolickich. Ksiądz kanonik Kubowicz zrobił piękny początek składek na ten cel, gdyż ofiarował 10.000 marek.

Błogosławieństwem arcypasterskiem zakończono te pamiętne obrady. Wieczorem odbyła się w sali Bazarowej wspaniała uczta pożegnalna, podczas której zebrano znaczną sumę na założenie „domu katolickiego."

Z wystawy.

Tłumy publiczności korzystając z prześlicznej pogody podążyły wczoraj na plac wystawy, na którym było tak pełno, iż zaledwie można się było przecisnąć. Pełno też było we wszystkich pawilonach. Kto wczoraj chciał dokładnie zwiedzać pawilony, nie mógł spełnić swego zamiaru, gdyż z powodu tłoku i ścisku zaledwie mógł przejść przez pawilony i rzucić okiem na wystawione przedmioty. Mnóstwo osób zwiedzało czasową wystawę kwiatów, owiec i nierogacizny. Pobyt publiczności na placu wystawy uprzyjemniały trzy muzyki: wojskowa, Harmonia i cygańska. Wystawę zwiedziło wczoraj 24064 osób, panoramę racławicką 2552 osób, pałac sztuki 2272 osób.

* * *

Pawilon Matejkowski otwarty zostanie w przyszłą niedzielę. Kolej naftowa zacznie kursować w środę, kolej napowietrzna we czwartek.

* * *

W pawilonie sanitarnym pomieszczone są nowe aparaty desinfekcyjne, wynalezione przez p. Antoniego Popiela w Krakowie. Arcyksiążę Karol Ludwik zwiedzając ten pawilon zainteresował się tymi aparatami i zapytywał p. Popiela o sposób ich użycia. P. Popiel jest ojcem zaszczytnie znanych artystów Antoniego rzeźbiarza i Tadeusza malarza.

* * *

Czasowa wystawa kwiatów i jarzyn otwartą została w sobotę. Mieści się ona zaraz u wejścia na plac wystawy krajowej. Do niej należy bardzo oryginalnie pomyślany pawilon lwowskich ogrodników pp. Wolińskiego i Kaczyńskiego po prawej, po lewej zaś stronie drogi głównej trzy oranżerye i cały szereg grządek. Pawilon pp. Kaczyńskiego i Wolińskiego już z daleka zapowiada, na jaki cel go wzniesiono. Nietylko bowiem otoczony jest zasadzonemi w gruncie kwiatami i roślinami liściowemi, ale nadto wypukły dach jego pokryty jest poziomo idącymi żłobkami, które napełniono ziemią i zasadzono w niej rozmaite kwiaty. U szczytu z urny roztacza olbrzymie swe dłonie palma palczasta. Palmy w ogóle stanowią najpiękniejszy punkt wystawy w tym pawilonie. Mieszczą się one w drugim pokoju w głębi. Po rogach stoją wielkie „Latanie", w środku olbrzymia „Areca", a koło ścian tulą się bardzo piękne okazy palmy „Phönix". Jak palmy pp. Kaczyńskiego i Wolińskiego, tak begonie i pelargonie p. Antoniego Klimowicza zatrzymują przy sobie publiczność. W długiej, niskiej oranżeryi ustawiono ich paręset wazonków. Pelargonie aż się mienią, tyle odcieni i barw. Co do begonii, to one imponują przedewszystkiem wielkością. Kwiaty ich dorównują dużemu kwiatowi róży, a najpiękniejsze są białe pełne i strzępiaste nakrapiane jak goździki chińskie.

Wchodzimy do wielkiej oranżeryi, całej ze szkła i żelaza, którą już nawet zakupił hr. Stanisław Badeni. Tymczasem mieści ona wystawę ogrodniczą p. Jana Klimowicza ze Lwowa i p. Piątkowskiego. P. Jan Klimowicz nie dał się uprzedzić nikomu. I w ogóle — co jest zresztą naturalnem — na wystawie kwiatów świecą lwowscy ogrodnicy, a każdy z nich ma jakąś specyalność. Np. palmy pp. Woliński i Kaczyński, pelargonie i begonie p. Antoni Klimowicz. U p. Jana Klimowicza w pierwszej chwili trudno zdecydować się, co jest jego specyalnością. Zaraz na wstępie owiewa widza odurzająca woń heliotropów, potem nasuwają się oczom „Azalee", wyglądające jak bukiety i kwitnący Rhododendron o łagodnej barwie kwiatków, są i begonie i pelargonie nie brzydsze jak u p. Antoniego Klimowicza, a nad barwną tą kępką, tworzą dach zielony wielkie liście ładnej „Latanii".

Dopiero kiedy się stanie u przeciwległej ściany, koło gromadki storczyków i zastępu liściowych roślin, widzi się, że to największa siła wystawy p. Jana Klimowicza. „Coleusy" o wielkich kolorowych liściach stoją tak gęsto, że tworzą jakby fantastyczny dywan. Liście ich wielkie nieraz jak dwie dłonie i większe, a barwa ich najrozmaitsza, od przypominającej łudząco aksamit purpurowy, aż do liści jakby skropionych wszystkiemi farbami z palety malarza.

P. Piątkowski wystawił swoje okazy *hors concurs* i ułożył je w fantastyczną grupę, przystrojoną po bokach kaktusami.

Wystawa jarzyn nie może na razie przedstawiać się bardzo obficie, bo wiele gatunków dopiero później może być wystawionych, a zresztą powtarzać się ona będzie peryodycznie, gdyż jarzyny więdną. Tym razem zwracają na siebie uwagę okazy z ogrodu arcybiskupa ks. Morawskiego w Obroszynie i z ogrodu ks. Adama Sapiehy: ogromne białe ogórki, sześciotygodniowe kartofle i melon. Także piękny melon wystawiła p. br. Brunicka, a wśród innych jarzyn z jej ogrodu, znalazły tu miejsce wspaniałe okazy poziomek i truskawek. Zwłaszcza gatunek „Król Albert saski" zwraca uwagę wielkością i zapachem.

Przy wystawie ogrodniczej pomieściły się plany urządzeń parków i ogrodów. Tu wzięła udział także firma Kronenberga z ogrodu Bagatela w Warszawie, która w Królestwie wiele pięknych ogrodów założyła i ma pod tym względem wyrobioną sławę.

KRONIKA.

Lwów 11 czerwca.

Z uniwersytetu. Do senatu akademickiego w Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie wniosło 49 kobiet podania z prośbą o dopuszczenie ich do słuchania wykładów. Kilka z petentek chce studyować medycynę, reszta zaś chce wstąpić na wydział filozoficzny.

Naczelny nadzór weterynarski nad wystawami bydła, koni, owiec i nierogacizny powierzył pan Namiestnik prof. lwowskiej szkoły weterynarskiej p. Pawłowi Kretowiczowi.

P. Sylwester Hawryszkiewicz, radzca budownictwa w Namiestnictwie lwowskiem otrzymał od Arcyksięcia Karola Ludwika pierścien brylantowy za urządzenie dla niego mieszkania podczas jego pobytu we Lwowie.

Ślub p. Tadeusza Miączyńskiego, syna zasłużonego, przemysłowca, p. Piotra Miączyńskiego, z panną Maryą Barszczewską, odbędzie się 16 czerwca o godz. 7 wieczorem w kościele św. Marcina we Lwowie.

Ustne egzamina dojrzałości w gimnazyum nowosądeckiem odbyły się w dniach 6—9 czerwca pod przewodnictwem dyrektora gimnazyum tarnowskiego dra Karola Benoniego. Do egzaminu przystąpiło 26 abituryentów publicznych. Z tych złożyło 7 egzamin z odznaczeniem, 17 uznano za dojrzałych, jednemu pozwolono składać egzamin powtórny z jednego przedmiotu, a jednego reprobowano na rok.

Świadectwo dojrzałości z odznaczeniem otrzymali: Wojciech Hadała, Zygmunt Przybylski, Mieczysław Rożański, Jan Sromek, Hersch Syrop, Mieczysław Wasiewicz, Zygmunt Wasiewicz. Za dojrzałych uznani: Mieczysław Drzymuchowski, Karol Dunaszek, Marcin Florek, Jan Grzegorzek, Henryk Jarocki, Eugeniusz Kozłowski, Jan Kwarciński, Ludwik Langer, Ludwik Marek, Józef Mosiewicz, Emil Sikora, Jan Smołka, Maksymilian Sroczyński, Michał Waligóra, Szczepan Wierny, Wojciech Wojtas i Saturnin Żytyński.

Arcyksiążę cyklistą. Arcyksiążę Leopold Ferdynand, stacyonowany w Bernie morawskiem jako kapitan 8 pułku piechoty, jest gorliwym cyklistą, bywa w tamtejszym klubie cyklistów i bierze udział w rekordach.

Muzyka wojskowa grać będzie jutro we wtorek, przed komendą korpusu. Początek o godz. 6ej wieczorem.

Izraelita przeciw swoim. Znany uczony włoski, Cezar Lombroso, z rodu izraelita, a z przekonań liberał, wydał niedawno książkę pod tytułem „Żydzi i antysemityzm w świetle współczesnej nauki," w której tak ostro wystąpił przeciw izraelitom, że ściągnął na siebie gromy potępienia u jednych pism, a gorsze niż potępienie, bo milczenie u pism innych. *Izraelita*, czasopismo wychodzące w Warszawie, ubolewa, że Lombroso posunął swą bezstronność tak daleko, że powiada, iż rysami charakterystycznemi współczesnych żydów jest „przebiegłość, mała energia, częste zwyrodnienie fizyczne (zwłaszcza u mieszkańców miast), konserwatywne trzymanie się starych zwyczajów w mowie i w stroju, brak odwagi wojskowej i pogardy dla śmierci".

Z Tarnopola nam piszą: Onegdaj toczyła się tu przed sądem przysięgłych rozprawa przeciw Dymitrowi Maksymczukowi, wieśniakowi z Kociubińczyk, oskarżonemu o kradzież gotówki ponad 300 zł., tudzież przeciw żonie jego o zbrodnię uczestnictwa w tej kradzieży. Oskarżony ma lat 44 i jest ojcem sześciorga dzieci.

W nocy z 2 na 3 listopada r. z. skradziono w urzędzie gminnym w Kociubińczykach z zamkniętej skrzyni gotówką 546 zł. 50 ct. Sprawca dostał się do urzędu w ten sposób, że wyrwał strzechę, spuścił się do wnętrza chaty, rozbił skrzynię i zabrał powyższą gotówkę. Były to pieniądze podatkowe, ściągnięte przez zwierzchność gminną od kontrybuentów. Złodzieja szukano blisko trzy miesiące, jednak bez skutku. Dopiero pewnego dnia zgłosił się do wójta jakiś chłop z oznajmieniem, że jeżeli mu da 100 zł., to powie, kogo podejrzywa o popełnienie tej kradzieży.

Wójt wręczył chłopu żądaną kwotę, poczem on wyjawił, że Maksymczuk od dłuższego czasu nad stan żyje, wiele pije i innych traktuje. Przedsięwzięto natychmiast u niego rewizyę domową, która też uwieńczoną została pomyślnym skutkiem, albowiem znaleziono u niego w rozmaitych schowkach 241 zł., których pochodzenia wyjaśnić nie umiał. Przyparty do muru przyznał się Maksymczuk do zbrodni, poczem go aresztowano, a żonę pozostawiono na wolnej stopie. Przy rozprawie obrońca adwokat dr. Horowitz starał się wykazać, że początkowo żona nic nie wiedziała o skradzionych przez męża a ukrytych w domu pieniądzach; dowiedziawszy się zaś o tem później, nie była obowiązaną oskarżać własnego męża; nadto, że nie ciągnęła żadnych korzyści z owych pieniędzy. Co do głównego oskarżonego, podniósł obrońca okoliczności łagodzące i prosił o najniższy wymiar kary. Trybunał przychylił się do wywodów obrońcy i skazał Dymitra Maksymczuka na półtora roku ciężkiego więzienia, żonę zaś uwolnił zupełnie. Szkodę pokrył oskarżony sprzedawszy całe swoje mienie.

Antisemityzm na torze wyścigowym. „*A bas les juifs!*" taki okrzyk wydawały tysiączne tłumy, zebrane ubiegłej niedzieli w Chantilly pod Paryżem, gdzie tego dnia na torze wyścigowym odbywały się gonitwy o wielką nagrodę Jockey-Clubu 75,000 franków. Od rana dwadzieścia i cztery pociągi kolejowe przewoziły z Paryża publiczność, składającą się z najwykwintniejszych warstw stolicy. O 11-tej rano wszystkie restauracye i kawiarnie były już szczelnie napełnione, a tłumy zaległy również pole wyścigowe, mało interesując się pierwszymi biegami. Wszyscy oczekiwali z niecierpliwością trzeciej gonitwy. Stanęło do niej osiemnaście koni, w tej liczbie „Gospodar" znanego bankiera paryzkiego, żyda, Ephrussi'ego. Faworytami publiczności byli: „Sesame", „Polygone", „Melchior" i „Styx". Wszystkim sprawił niespodziankę „Gospodar", który stanął u mety pierwszy. Tu należy wymienić, iż poprzednio w wyścigu przychówku „Grande poule des produits" biegał ten sam „Gospodar" i jeden z ostatnich stanął u mety. Wyrodziło się tedy podejrzenie, że dżokiej wówczas z polecenia pana umyślnie konia powstrzymywał, aby następnie w Derby nieoczekiwanem zwycięztwem zarobić olbrzymią sumę. To też gdy „Gospodar" przybył pierwszy do mety, zamiast zwykłych oklasków rozległy się okrzyki: „*Au voleur!*" Oburzenie tłumów wzrastało i gdy Ephrussi wyszedł z sali, przeznaczonej do ważenia dżokiejów, powstała burza: „*A bas les juifs!*" „*A bas les voleurs!*" Dziennikarze, sportsmeni, otaczają Ephrusiego i obrzucają gradem wyrzutów. Blady i drżący ze strachu bankier chroni się do jakiejś stajni i tam pod eskortą policyi czeka końca wyścigów. Od dłuższego czasu zauważono, iż konie Ephrussiego, ile razy były ulubieńcami publiczności, nie wygrywały nic i odnosiły zwycięztwa wtedy, gdy się tego najmniej spodziewano. Sportsmeni utrzymują, iż Ephrussiemu nie pozostaje obecnie nic innego, jak sprzedać stadninę, gdyż konie jego już na torach francuskich pokazywać się nie będą mogły. Totalizator po tym głośnym wyścigu płacił za 10 fr. 222 fr., za 5 fr. — 104 franków.

Pielgrzymka na kolanach. Pewien ubogi człowiek z gubernii suwalskiej, który po pięciu latach odzyskał wzrok, uczynił ślub, że pójdzie na kolanach do Matki Boskiej Częstochowskiej. Idzie już od stycznia i obecnie znajduje się w Mogielnicy, w powiecie grojeckim. Ludzie szczodrze obsypują go jałmużną, którą biedak ten przeznacza na kościoły.

Przestroga. Jeden z czytelników nam pisze: Dnia 7 b. m. skradziono mi przy panoramie Racławickiej srebrny zegarek. Dobrze byłoby przestrzedz publiczność, aby przy zwiedzaniu panoramy miała się na baczności przed złodziejami kieszonkowymi.

Z Równego koło Dukli nam donoszą: Okolicę tutejszą nawiedziła 8-go b. m. gwałtowna burza z gradem, a oberwanie chmury spowodowało wylew Jasiołki, która znaczne szkody w ziemiopłodach zrządziła.

Z Rohatyńskiego nam piszą: Jeszcze w roku 1884 przeprowadzoną została w Lipicy Górnej rozprawa konkurencyjna, na której uchwalono budowę nowej murowanej cerkwi, do której to budowy parafianie z przyłączonej Lipicy Dolnej mieli w swej mierze konkurować. A ponieważ parafianie Lipicy Dolnej niedawno przedtem wybudowali u siebie, wyłącznie swoim kosztem, piękną i jak na swoje stosunki dość kosztowną cerkiew, przeto sprzeciwili się przy pomienionej rozprawie, budowie nowej cerkwi w Lipicy górnej, podnosząc, że to za wiele dla nich, by postawiwszy z wielkiem wytężeniem jedną cerkiew, budowali obecnie jeszcze drugą. Prawo było po naszej stronie, ale słuszność była po ich stronie; nie mogliśmy się pogodzić i żeby nie wywołać podobnych zajść, jak w Tuczempach, zaniechaliśmy budowy nowej cerkwi i tuliliśmy się w starej, ciasnej cerkiewce, jeszcze przez lat dziesięć. Ale przyszedł i na nią czas, groziła zawaleniem, a starostwo zamknięciem groziło. Więc 21-go maja przeprowadzoną została nowa rozprawa konkurencyjna, przy której, jak poprzednio, parafianie Lipnicy Dolnej żądali, by ich od konkurencyi uwolniono, zaś parafianie Lipicy Górnej od swego prawa odstąpić nie chcieli. Obecny przy rozprawie starosta Waydowicz starał się w sposób bardzo trafny przeprowadzić między stronami ugodę dobrowolną, my zaś w imieniu komitetu parafialnego, chcąc ułatwić ugodę, zaproponowaliśmy, ażeby stawiać cerkiew nie murowaną, ale drewnianą, a więc o połowę tańszą — ale i ta propozycya nie była w stanie skłonić parafian Lipicy Górnej do odstąpienia od praw swoich i zwolnienia Lipicy Dolnej od konkurencyi. Przemówił tedy właściciel jednego obszaru dworskiego w Lipicy Górnej, Major Perlmutter, oświadczając, że jakkolwiek jest innego wyznania, jednak głosuje za tem, by stawiano cerkiew murowaną, zachęcał parafian Lipicy Górnej, by uwolnili Lipicę Dolną od konkurencyi, i dodał, że w razie takiego uwolnienia ofiarowuje jeszcze kwotę 100 złr. Na to wystąpił właściciel drugiej części Lipicy Górnej, Joachim Perlmutter, oświadczając, że on również pod warunkiem powyższym ofiaruje 100 złr. po nad swój obowiązek, poczem trzeci właściciel, p. Kazimierz Czermiński, przemówił serdecznie do parafian, ofiarowując po nad obowiązkowy datek jeszcze 200 złr. Zjawił się na to właściciel Lipicy Dolnej, hr. Artur Russocki, i zgłosił się z dobrowolną ofiarą 200 złr. Na tem nie koniec. Reprezentanci gminy Lipicy Dolnej, ujęci taką ofiarnością obywatelską, wystąpili z prośbą o uwolnienie ich od prestacyi z ofiarą dobrowolnego datku 700 złr. Staliśmy zdumieni, będąc świadkami osobliwej licytacyi szczodrej życzliwości — rosła suma, rosły i serca nasze. Szczególny ten objaw przy rozprawie konkurencyjnej trafił najlepiej do przekonania twardych, ale w gruncie poczciwych parafian Lipicy Górnej, którzy już z całą gotowością oświadczyli, że swoich sąsiadów z Lipicy Dolnej zwalniają od obowiązku konkurowania do budowy cerkwi w Lipicy Górnej. Dzięki więc ofiarom szanownych właścicieli obszarów dworskich, a jeszcze bardziej dzięki ich serdecznej życzliwości, rozprawa konkurencyjna przyszła zgodnie do skutku i będziemy mogli jeszcze w tym roku przystąpić do budowy domu Bożego. Składam tedy wszystkim ofiarodawcom szczere i serdeczne podziękowanie, a nasza rozprawa konkurencyjna niechaj będzie zagrzewającym przykładem i pouczeniem dla nas, że chcąc wspólne sprawy zgodnie załatwić, należy najpierw zakołatać do serc ludzkich, a potem przemówić do ich rozumu. *Ks. Józef Makohoński*, gr. k. dziekan i proboszcz miejscowy. *Fed Zyzak, Jacko Zyrak, Kost Skotar' Hawryło Rewus*, członkowie komitetu, w imieniu całej parafii.

O sporcie w Warszawie pisze jeden z fejletonistów tamecznych co następuje:

Warszawa stała się miastem sportowem tak dalece, że chyba nie ma w niej człowieka, któryby jakiegoś sportu nie uprawiał; nawet pięcioletnie dzieci mają towarzystwa gimnastyczne, a poważni ichmościowie, nie zważając na peryferyę swoich kształtów, na krótki oddech, wreszcie na metrykę, opiewającą bardzo odległe daty, ćwiczą się na trapezach dla nabrania apetytu.

Szanujący się młodzieniec warszawski może się obywać bez wielu rzeczy niezbędnych, ale musi posiadać rower lub też uniform wioślarski, w najgorszym razie fechtuje się, albo, choćby był tęgi, jak szwedzka zapałka, należy do zgromadzenia atletów i marzy o pokonaniu Pytlasińskiego sposobem szwajcarskim, albo przebywa pieszo dwadzieścia wiorst dziennie, objuczony ciężarem wagi 2 i pół kilogramów.

Oprócz ruchu i przyjemności osobistej, mają ci zwolennicy ćwiczeń fizycznych odznaczenia honorowe, rozgłos w prasie i mnóstwo uciech moralnych. Niewinne to słabostki, nikomu nieszkodliwe, zdrowiu pożyteczne, więc nie należy ich wyśmiewać.

Niech sobie wioślarz pływa, niech cyklista pędzi, jak uragan do Góry Kalwaryi, czy Pułtuska, niech fechmistrz dziurawi ostrym floretem atmosferę, a maleński atleta niech drepce drobnym kroczkiem, choćby do tych Włoch, co pod Pruszkowem leżą,

---

97)

WOJCIECH DZIEDUSZYCKI.

ŚWIĘTY PTAK

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

(Ciąg dalszy).

Hesz-Aker zawołała wreszcie:

— Ty miałaś słuszność, przestrzegałaś mnie, mówiłaś mi prawdę, a ja ci nie wierzyłam i obrażałam się czasem na ciebie. Przebacz mi dziś, bo potrzebuję twojego przebaczenia i twojej pomocy. Nie powinnaś się dziwić temu, żem ci we wszystkiem nie wierzyła, bo jam przecie sama Egipcyanką, a czuję, że nie jestem podłą i nie mogłam rozumieć tego, aby wszyscy Egipcyanie byli nikczemnikami. Szukałam dla siebie egipskiego bohatera i przez chwilę myślałam, żem go znalazła; stroiłam Setiego w mojej wyobraźni we wszystkie cnoty, wierzyłam, że ten jest wyższy od waszych Greków, że jest miłosierny, ludzki, uczony. Przebacz mi tę myśl, bo wiem teraz, że każdy Egipcyanin to łotr, że nie miałam nigdy żadnego przyjaciela oprócz ciebie, żadnego doradzcy, że prócz ciebie nie spotkałam człowieka, któryby był człowiekiem na prawdę. A więc słuchaj, Elpinoe! błagam cię na przyjaźń naszą, na miłość naszą wzajemną, nie zostaw mnie tu pośród Egipcyan, zabierz mnie wraz z sobą do twojej ojczyzny, kiedy tam odpłyniesz z twoim Diomedontem! Pocóż mamy zrywać jedyną przyjaźń, która dla mnie była na świecie prawdą? Po cóż mam tu zostać pośród kłamstwa i podłości? Po cóż mam się kłaniać i uśmiechać temu nikczemnikowi Setiemu i jego żonie królowej Kerkomamie, kiedy mogę wraz z tobą odjechać w nienawiści dla Egiptu i żyć wolnem życiem bohaterów i znaleść tam na wyspach młodzieńca dzielnego przodził bojowej zamieszki, który będzie kochał na prawdę?

Hesz-Aker mówiła szybko, bez zmiany głosu, jakby chora. Elpinoe zrozumiała natychmiast, jak to się stało, że wszystko skaziło do dna zamierzonego powodzenia Hesz-Akery i rozniecona namiętność Egipcyanki, gwałtownem wyrzekaniem się Egipcyan, niemniej gwałtownem i egzaltowanem uwielbieniem cnoty i miłości greckich bohaterów. Kłamała teraz świadomie, przypisując mieszkańcom swojej ojczyzny wszystkie przymioty, o których nie wiedziała, zanim przybyła do Egiptu i których nie znała, cnotami nie mieniła, ale w których ufała, że się znajdą u Greków. Rada bardziej skusiła Hesz-Akerę do tych pochwał, i dziwne zemsty bolesne w niej rozpłomieniły. Chcąc spełnić swoją dziką zemstę na nieszczęśliwej Egipcyance, zemstę za upokorzenie, które przyniosła jej litość, zmyślała teraz czułość i wierność w miłości u Achajskich bohaterów. A kiedy uczuła, że dość żaru dosypała do ognia, zakończyła rzecz swoją temi słowy:

— Wezmę cię z sobą. Ale czy wiesz o tem, że twoi rodzice nie pozwolą na odjazd, że ten odjazd musi być ucieczką, że musisz ukrywać twoje zamiary przed rodzicami i udawać, żeś nikczemnie ugięła czoło przed koniecznością?

— O rodziców nie dbam, — syknęła Hesz-Aker, — osądziłam ich, jak w źwierciedle ujrzałam się, jak ich rodzice, to jest otoczone nikczemnością Egiptu. Gdybym przez chwilę pomyślała, że Amenemha i Hanna potrafią się mścić za zniewagę i spoliczkowanie dziesięcioma, zostałabym tu, aby się mścić wraz z nimi. Ale oni nie są zdolni do zemsty, bo są Egipcyanami i będą się płaszczyli przed tyranem Faraonowi.

— To dobrze, — podjęła Elpinoe — lubię cię taką, a teraz pozdrów się co masz czynić. Z tego domu trudno będzie tobie ujść, a jak na miasto wychodzisz, bywasz strzeżoną. Ale jutro miasto na tydzień do klasztoru kapłanek Amuna, aby tam się przygotowywać do drugiego wtajemniczenia, pójdź tam i tam pozostań przez dziesięć dni. Przez ten czas ja zaprowadzę cię dwóch tylko kapłanów do piramidy przodka twojego Amenemhy III. Idąc przez miasto grobów, wyjdziesz Diomedonta i nalu zbrojnych Greków, stojących w miejscu pustem, zajdą wam drogę, a poznasz ich potem, że będą mieli w ręku chorągiew z krogulcem, herbem waszego rodu. Wtedy odstąpisz kapłanów i przystąpisz do bohaterów. Ja może tam będę z nimi, a może będę czekać na łodzi, na rzece. Odjedziemy razem na północ, a ja twemu ojcu nie zapłacę wykupu, bo nikt nie będzie śmiał ścigać tych, u których ty będziesz zakładnicą.

I na tem stanęło. Nie było u Hesz-Akery ani łez, ani rozczuleń. Wielkość nagłej boleści wprawiła ją w jakiś dziecinny obłęd, podobny szaleństwu. Była spokojną; zdawało jej się, że była pocieszoną, a kiedy Elpinoe poszła, usnęła i śniła o wyspach zielonych i narodzie jakichś szlachetnych półbogów, zamieszkujących te wyspy. Przez sen słyszała we śnie jakby daleki głos rodziców wołających na nią w rozpaczy, aby wróciła na ich łono, ale tego głosu słuchać nie chciała. Zdawało jej się czasem, że Seti zjawił się przed nią jako najwspanialszy i najszlachetniejszy z mieszkańców owego wymionego raju, jako bohater, który w imię Egiptu poskromił wszystkich mężów północy. Leciała w jego objęcia i serce jej biło szaloną radością. Ale wnet potem zamienił się ten bohater w jakąś śliską poczwarę, od której odrywała się z krzykiem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

lepsze to, niż gra w karty lub wędzenie się żywcem w bawaryi — ale wyścigi...

Niech czytelnik nie sądzi, że uraczę go filipiką przeciwko wyścigom i hodowli koni pełnej krwi. Piosnka to ograna przez wszystkie katarynki, a dużo w niej nut fałszywych.

W zasadzie nikt rozsądny spierać się o to nie będzie, czy hodowla folblutów jest pożyteczną, lub nie, gdyż za granicą praktyka rozstrzygnęła już dawno to pytanie w duchu twierdzącym, a i u nas powstały w niektórych majątkach stada koni pół krwi (np. Sasprków i inne), które przyczyniają się do pewnego stopnia do podniesienia ogólnego poziomu hodowli w kraju.

To są rzeczy znane i uznane, ale swoją drogą, ile razy mowa o wyścigach, zawsze przychodzą na myśl te fakta: że do tramwajów warszawskich trzeba sprowadzać konie z Węgier, do karet z gubernii stepowych; że znalezienie dobrego wierzchowca na naszych jarmarkach, jest prawie tak trudnem, jak rozwiązanie kwestyi kwadratury koła; że piwowar warszawski, chcąc zaimponować miastu okazałym wozem, kryjącym w sobie mizerne piwo, musi sprowadzać perszerony z zagranicy, jak gdyby na tutejszym owsie i trawie tutejszej nie można było jeszcze potworniejszych bestyj wyhodować...

Rzeczoznawcy mówią na to:

— Powoli, cierpliwości, i to z czasem przyjdzie.

Być może, ale czas uchodzi, a jakoś spełnienia tych obietnic nie widać. Na palcach można wyliczyć wsie, w których konie włościańskie nie pozostawiają nic do życzenia, niewiele da się wymienić takich, w których mają jakąś wartość; przeważnie są to marne i zabiedzone wywłoki, małe, bezsilne, nic nie warte.

Pewien Francuz, podróżujący po naszych zakątkach, drogę od stacyi kolejowej do jakiegoś miasteczka przebywał na chłopskim wózku i pełen zdumienia, zapisał w pamiętniku swoim te słowa:

„Strasznie trzęsący wóz, na którym umieściłem swoje bagaże i zmęczone kości, ciągniony był przez zwierzę, którego gatunku nie umiałem określić, pomimo, że w kolegium miałem doskonałe stopnie za postępy w zoologii. Zwierzę to, nie tak garbate, jak lama, wzrostem nie dochodzi wielkości średniego muła, ma uszy mniejsze od oślich, a szerść podobną do szerści chorego psa. Stworzenie to, bardzo powolne i leniwe, w języku miejscowym nazywa się: „Cogna“...

Wierzmy wraz z rzeczoznawcami, że przyjdzie czas, kiedy zwierzę „Cogna“ stanie się koniem i cudzoziemiec nie będzie miał wątpliwości, do jakiej grupy ssących je zaliczyć? Pozostawmyż też na stronie kwestyę długości owego czasu — i przyznajmy, cośmy już zresztą uczynili na wstępie, że „wielkie stajnie“ są użyteczne.

Po tem wyznaniu moglibyśmy już powrócić do głównej kwestyi tego listu, lecz zatrzymują nas na drodze „stajenki“. Przysłowie o żabie, zawsze jest pełne prawdy i w tym razie da się zastosować. Tryumfy wielkich hodowców, dziesiątki tysięcy rubli, pełne półimperyałów puhary, zdobyte na różnych torach, nie dają spać spokojnie pewnym ludziom.

— Ostatecznie — mówią oni do siebie — cóż tak nadzwyczajnego wyhodować folbluta i wytranować go tak, aby mógł biegać z powodzeniem i zdobywać wielkie sumy.

I w duchu tej myśli powstaje „stajenka“ założona bez wielkich kapitałów, do tego procederu niezbędnych, bez znajomości rzeczy, na równi z kapitałami nieodzownej, powstaje i w rezultacie zjada folwark, gubi właściciela, a zamiast spodziewanych pucharów, pełnych złota, zamiast tysięcy i kroci, przynosi gorzkie rozczarowanie i materyalną ruinę.

Ostrożnie więc ze „stajenkami!“ A jeżeli się gdzie jaka buduje, to lepiej ją przerobić na oborę lub owczarnię, albo nawet, z przeproszeniem, na chlew; ta bowiem hodowla łatwiejsza, nie wymagająca wielkich kapitałów, a pewna. Wprawdzie krowa lub inne spokojne stworzenie nie może debiutować w wielkiem „Derby“, ale też i nie narazi na gorzkie rozczarowania.

Rozumiemy jeszcze „stajenki“ i „stadka“ koni półkrwi, roboczych i w ogóle zdolnych do pracy, ale wyścigowca pozostawić należy wyłącznie „wielkim stajniom!“ *Scriba.*

Dwa miliony rubli zapisał warszawskiemu towarzystwu dobroczynności ś. p. hrabia Eligiusz Suchodolski, którego testament właśnie teraz został otwarty. Nieboszczyk pozostawił tylko jednego brata bezdzietnego, przebywającego w Wiedniu.

Morderstwo przed dziesięciu laty. Z Knihynicz nam piszą: We środę dnia 6 bm. dzieci żydowskie, bawiąc się na drodze wiodącej z rynku do urzędu pocztowego, tuż pod ścianą domu zajezdnego wygrzebały czaszkę ludzką. Na polecenie naczelnika gminy rozpoczęto natychmiast w tem miejscu kopać i w głębokości 20 cm znaleziono kościotrupa w postaci skurczonej z głową do góry. Ponieważ miejsce wskazywało, że kościotrup tylko z jakiegoś morderstwa pochodzić może, przeto doniesiono o tem natychmiast do sądu. Według twierdzenia lekarzy kościotrup pochodzi z osoby płci żeńskiej, liczącej najwyżej lat dwadzieścia, a zamordowanej przed dziesięciu lub dwunastu laty. Że zaś w tym czasie ani dawniej w Knihyniczach żadnego morderstwa nie popełniono, przeto przypuszczać należy, że tu przywieziono już trupa, zajechano do tego domu zajezdnego, a w nocy, wykopawszy pod ścianą jamę, tam nieszczęśliwą ofiarę zakopano i wszelkie ślady zbrodni zatarto.

Dom robotniczy. Otrzymaliśmy następujące pismo: W *Przeglądzie* z 26 maja była wzmianka o „Domie ludowym“ księdza Garniera, w następnym numerze o „Naszym domu“ Jeassena w Amsterdamie, wreszcie numer z 7 bm. podał wiadomość o „Domie katolickim“ w Brzeżanach, założonym przez ks. L. Soleckiego.

Wypada wspomnieć także o „Domie robotniczym“ w Białej przynajmniej kilku słowami. Stowarzyszenie to zapisane jest do rejestru stowarzyszeń zarobkowych w sądzie handlowym w Wadowicach dnia 20 listopada 1891, liczy obecnie około siedmiu set członków, i mimo przeszkód stawianych ze strony socyalistycznych burzycieli i innych wrogów, z tygodniowych 20centowych składek założyło własny sklep w Białej i filię sklepu w Lipniku, a nadto kupiło kilka morgów pola za 4500 zł. w Lipniku. Oprócz wspomnianych siedmiu set członków stowarzyszenia zaopatruje się w sklepach „Domu robotniczego“ wiele innych osób, tak iż kilka tysięcy osób towary tam nabywa.

W niedzielę 3 bm. po południu zarząd „Domu robotniczego“, do którego prócz robotników należy także kilku księży i urzędników, urządził po raz pierwszy wspólną wycieczkę do pobliskiego lasku. Setki członków stowarzyszenia i tysiące ciekawych brały w niej udział. Tańce, śpiewy, gry towarzyskie i swobodna pogadanka odświeżały umysł i siły uczestników wycieczki. Przybyłych na wycieczkę gości z innych stanów przyjmowali robotnicy z uszanowaniem, a proboszcza i starostę bialskiego witali z niezwykłym zapałem i radością wśród dźwięków muzyki i okrzyków „Niech żyją!“

We wzorowym porządku odbył się wieczorem powrót do miasta przed lokal „Domu robotniczego“, skąd stowarzyszeni w spokoju rozeszli się do domu. Z początku fabrykanci uważali stowarzyszenie to za rewolucyjne, obecnie jednak znikło uprzedzenie, a jeden z fabrykantów pomaga mu nawet swoją radą i wyszukał odpowiedniego buchaltera. Atoli mimo to żaden fabrykant nie chciał się uniżyć i przybyć na wycieczkę robotników, którzy byliby ich niezwodnie z wdzięcznością powitali.

Zarząd stowarzyszenia pragnie rozszerzyć swą działalność w tym kierunku, aby prócz materyalnych korzyści dać stowarzyszonym za pomocą uczciwych gazetek i wykładów sposobność do wzajemnego poznania się i kształcenia się pod każdym względem.

Kozy 8 czerwca. *Ks. J. Łabaj.*

Z Podwołoczysk nam piszą: W ostatnich 2ch tygodniach silne padały deszcze w naszej okolicy a choć zasiewy na razie ucierpiały nie wiele, ceny zboża znacznie podskoczyły w górę, gdyż trwanie niepogody bardzo źle wpłynąćby mogło na wynik zasiewów. Żyto, które się pięknie rozwijało, ucierpiało najbardziej od deszczu. Pszenica zanadto wybujała i częściowo się położyła. Nasiona strączkowe zapowiadają się dobrze. Ogartywanie kartofli powstrzymano wskutek deszczów.

Dziś notoją: Pszenica zł. 5·80 do 6·70, owies 4·— do 5·20, jęczmień 3·90 do 4·25, kukurudza 3·40 do 4·10, gryka 4·60 do 5·20, groch pastewny 4·90 do 5·50. Ceny transito (bez cła).

Wycieczka na wystawę. Z Sanoka piszą nam: Dnia 1 bm. odbyło się tu nadzwyczajne posiedzenie zarządu Koła Pań Towarzystwa Szkoły ludowej dla zastanowienia się nad poruszoną w kraju sprawą wysłania młodzieży szkolnej na wystawę krajową. Na posiedzenie to jako gości zaproszono pp.: dyrektora gimnazyum Tokarskiego, prof. gimn. Kwiatkowskiego, inżyniera Adamczyka, dyr. Biegę, inżyn. Baumana, aptekarza Gielę i dra Nebenzahla, delegata Koła pań na walny zjazd we Lwowie. Po dłuższej i nader ożywionej dyskusyi wybrano komitet wykonawczy z dyr. Torkarskim jako przewodniczącym i drem Nebenzahlem jako sekretarzem. Projektowana wycieczka ma objąć dzieci szkół ludowych całego powiatu sanockiego równie jak młodzież gimnazyalną i uczniów szkoły przemysłowej.

Niemiecka prasa gorąco zajmuje się naszą wystawą, która widocznie zaimponowała Europie. Pisma berlińskie, peszteńskie i wiedeńskie zamieszczają bardzo przychylne dla nas felietony. Obecnie bawi we Lwowie p. Bong, redaktor najlepszego i najpiękniejszego, i najbardziej rozpowszechnionego niemieckiego pisma ilustrowanego p. t. *Moderne Kunst.* Jeden numer swego pisma p. Bong zamierza poświęcić naszej wystawie krajowej i zamieści w nim mnóstwo ilustracyi, reprodukcyi obrazów z wystawy sztuk pięknych itp.

Cenzura rosyjska pozwoliła dziennikom polskim, wychodzącym w Królestwie Polskiem, zamieszczać korespondencye i artykuły o naszej wystawie. Dotąd nie wolno im było wcale pisać o lwowskiej wystawie. Powodem tej zmiany w zapatrywaniach rządu rosyjskiego na naszą wystawę jest ta okoliczność, że Arcyksiążę Karol Ludwik powiedział, iż panorama Racławicka nie ubliża wcale Rosyi.

Tramwaj elektryczny. Mamy do zanotowania znowu kilka skarg na tramwaj elektryczny. Przedewszystkiem niepoprawna służba dalej mówi po niemiecku i to ostentacyjnie, impertynencko. Onegdaj jakiejś służącej, która zapytała gdzie ma wysiąść odpowiedział konduktor: *Ich verstehe nicht. Sprechen sie deutsch oder ungarisch.* Niezdolność, niedbalstwo i lichota tego przedsiębiorstwa wystąpiła w całym blasku wczoraj po południu. Tysiące i tysiące ciągnęły ku wystawie, wyczekiwały po ulicach na tramwaj elektryczny, a ten miał w ruchu zaledwo sześć wozów! Czyż to nie rażące lekceważenie publiczności i wystawy? Ale nawet ci, co znaleźli miejsce w czerwonych wozach elektrycznego tramwaju nie mogli być pewni że zajadą na wystawę, bo tramwaj nabierał tylu pasażerów ile się dało, policya zaś nie mogąc dopuścić takiego przeładowania wozów, zatrzymywała je i kazała wysiadać pasażerom pozostawiając tylko po 32 osób w wozie. A ci, których wyrzucono, zapłaciwszy za jazdę, musieli iść piechotą. Dodajmy jeszcze, że wozy kursować mogły tylko na pewnej części linii ku wystawie. Kursowały naturalnie, jeżeli się w nich co nie popsuło, bo i to się zdarzało. Tak np. koło parku wieczorem stanął jeden z wozów, światła pogasły, a konduktor kazał wszystkim wysiąść „bo prąd nie chciał iść“. Dowiadujemy się, że magistrat wzruszony nareszcie skargami publiczności wezwał zarząd tramwaju elektrycznego do usunięcia nieporządków, a nawet że zwołano „komisyę elektryczną“. Na formalności samej jednakże poprzestać się nie powinno, ale należy za każdy dzień od 29 maja wymierzyć przedsiębiorstwu tramwaju elektrycznego z całą bezwzględnością karę przepisaną kontraktem zdaje się nam że 100 złr. dziennie za nieutrzymywanie regularnego ruchu. Boć przecie tego co się teraz dzieje w żaden sposób „regularnym“ ruchem nazwać nie można.

Zmarli. Władysław Czaprański, słuchacz Igo roku prawa na wszechnicy lwowskiej, umarł w Krakowcu w 18 roku życia. — W Tarnopolu zmarł Edward Weigner, nauczyciel muzyki, przeżywszy lat 40.

Stan powietrza. T. o 7 rano + 12, w poł. + 17° R. Barom. 758. Spada. W południe padał drobny deszcz.

Burza w szklance wody.

— Proszę pani, moja pani prosi pani o klucz „z góry...“ — Aż bielizna moja wyschnie, co powtarzam po raz wtóry; klucza nie dam, jako żywo! Patrzcie ważna mi osoba! Niech bieliznę sobie wiesza, gdzie się żywnie jej podoba!

— Cóż sąsiadka sobie myśli?! u mnie wszystko już wyprane! Jak mi klucza nie oddacie, z pod ziemi go wydostanę! Ja tam proszę, pókim dobra — a sąsiadka mnie obraża — proszę oddać klucz od strychu, bo zawołam gospodarza!...

— Wołaj sobie pani, wołaj nawet setkę gospodarzy! Toć nie dyabeł nasz gospodarz — żywcem mnie tu nie usmarzy... A chociażby smarzyć zechciał, daję na to moje słowo — klucza nie dam!... A i pani muru nie przebijesz głową!..

— Ależ, panie dobrodziejki! istotnie nad tem boleję, cóż ja jednak tu poradzę?! Ot, mam jeszcze tę nadzieję, że szanowna pani zechce to uwzględnić, że jak komu klucz potrzebny.... Wszak strych jeden w całym domu!...

— Jakto?! i to pan! gospodarz! śmiesz odemnie tego żądać?! Niegodziwcze! że też możesz śmiało w oczy mi spoglądać! Dobrze, — panie, — klucz oddaję, nie przeszkadzam, niechaj służy, ale wiedz, że w twoim domu już nie będę mieszkać dłużej!...

— Ależ pani! słowo daję, że obrazić cię nie chciałem! pragnąc zgody lokatorów, „niegodziwcem“ już zostałem... Zwracam oto klucz od strychu... Takie proszę pani sprawy, że się przyznam już otwarcie — są dalekie od zabawy!...

— Więc pan klucz od góry zwracasz lokatorek twych „ozdobie“?! dobrze, teraz *mnie* objaśnij, co z bielizną mokrą zrobię? Mąż mój zna się na kodeksie tak jest, zna się, miły panie! Od kwartału wiedz, — że zmieniam obrzydliwe to mieszkanie!

— Aha! widzi więc sąsiadka, że to ze mną dosyć trudno! pókim żywa! klucza nie dam!... Noś bieliznę sobie brudną! Patrzcie państwo! gospodarza aż sprowadzić jej się chciało! — Zobaczymy, moja pani, czy też wyjdziesz z tego cało?!

(Rada Redakcyi). Skoro zgody, piękne panie, w kwestyi strychów tak pragniecie, więc przyjmijcie naszą radę, radę najpoczciwszą w świecie: Zamiast sobie nerwy psować w ciągłej zasad swych obronie, zwrócić pychę wielką z serca — suszcie szaty swe... w salonie.

Milutka żona.

Mąż wraca do domu, spracowany jak wół i zastaje żonę, czytającą francuski romans.

— Moja żonko — prosi — muszę zaraz wyjść na sesyę. Przyszyj mi, proszę, guzik do kamizelki.

Żonka bierze kamizelkę i flegmatycznie pyta:

— Któryż ci guzik przyszyć? Tu dwóch brakuje..

Panorama racławicka na wystawie otwarta codziennie od godziny 8 rano do 8 wieczorem. Wstęp 50 ct., w poniedziałek 1 zł.

Literatura i Sztuka.

* **„Listy z pola walki“** (*Feldbriefe*), zapowiadane od pewnego czasu pamiętniki generała v. Wilmowskiego, szefa gabinetu cywilnego Wilhelma Igo, ukazały się w tych dniach na widok publiczny, wydane w sporym tomie, nakładem Ed. Trewendta we Wrocławiu.

Generał ten był od listopada 1869 roku mężem zaufania sędziwego cesarza i jego nieodstępnym towarzyszem. Myliłby się jednak, ktoby sądził, iż wspomniane „Feldbriefe“ jego, ograniczające się głównie do historyi i przebiegu wojny francusko pruskiej, przynoszą zbyt wiele nowego materyału; nie można im atoli odmówić tego, iż malują wiernie i drobiazgowo wrażenia, jakie piętrzące się wypadki wywierały zarówno na cesarza, jak i całe jego otoczenie najbliższe. Pod tym względem, jako uzupełnienie znanej książki Buscha „Książę Bismarck i jego ludzie“, pamiętniki von Wilmowskiego mają niezaprzeczoną wartość — i tę sprawiedliwość oddaje im prasa niemiecka.

Niektóre dorywcze wyjątki mogą tu służyć za dowód.

Szczególniej charakterystycznym jest między innymi list z Berlina (16go lipca 1870), opisujący powrotną podróż króla z Ems do Berlina, już po pamiętnym wypadku, który zadecydował o wypowiedzeniu wojny. „Podróż ta — pisze Wilmowsky — była istnym pochodem tryumfalnym, którego nigdybym się nie mógł był spodziewać. Już na pierwszych stacyach od Ems stali na dworcach ludzie w zbitych masach, wołając „hurra!“. Nawet w miejscowościach, jak w Giesen i Getyndze, gdzie dla króla nie można się było spodziewać wielkiej sympatyi, zachowywały się tłumy, jak szalone. W Kassel ledwieśmy się przedostali. Zaledwie bowiem pociąg tam stanął, ludzie otoczyli go ze wszech stron, drapiąc się i spinając po stopniach wagonów, — a okrzyki: „Hoch!“ i „Hurra!“ prawie nie ustawały.

„Dojeżdżając do Börsum, maleńkiej, podrzędnej stacyjki, ujrzeliśmy już zdala chorągwie, stowarzyszenia strzeleckie i mnóstwo ludu. Przybył tam właśnie specyalny pociąg z publicznością z Brunświku, aby na cześć króla wznieść: „Hurra!“. Jakże to często wówczas słyszeliśmy wyraźnie słowa: „Do Francyi! Na Paryż! Zbroić się! Mobilizować!“. W Magdeburgu spodziewaliśmy się pierwszych wiadomości o decyzyach ministeryum francuskiego, nie było ich jednakże wcale. W Brandenburgu wsiedli do naszego pociągu: następca tronu, Bismark, Moltke i Roon, lecz i oni nie przywieźli żadnych wiadomości.

„Tu dopiero, w Berlinie, zastaliśmy je. Król, wysiadłszy z pałacu i wstąpiwszy do sali, był bardzo wzruszony; chwilę też jeszcze zwlekano, zanim następca tronu i Bismark rozpoczęli czytanie depesz. W sali zapanowała uroczysta powaga. Drzwi pozostałe otwarte. Król miał łzy w oczach. Dopiero gdy następca tronu odczytał wyrażenie ministra francuskiego w jego depeszy: „Narzucają nam wojnę...“ — zapanowała wśród zebranych mimowolna wesołość. Wreszcie na balkon wyszedł następca tronu i donośnym głosem oświadczył zebranej przed pałacem publiczności: „Wojna wypowiedziana! Mobilizujemy!..“

W następnych dniach, aż do wyjazdu króla do armii, dzielił on swoją troskliwość zarówno między wszelkie zarządzenia co do mobilizacyi, jak i między swoje otoczenie. „Obcowanie z królem w tych dniach — czytamy w liście z 26 lipca — było nader przyjemne i interesujące; nauczyłem się wtedy coraz więcej kochać i uwielbiać monarchę. Wczoraj przyszedłem doń z pewną sprawą, której nie można było w obecnych warunkach załatwić. Proponowałem tedy odłożenie jej na cztery miesiące. „Dlaczego właśnie na cztery?“ — zapytał król. „W nadziei — odparłem — że do tego czasu pokój nastanie“. — „O! — szepnął król — życzę krajowi, abyś się pan nie mylił. Mnie jednak rzecz ta wydaje się trudniejszą..“

Pod datą 13-go listopada pisze Wilmowski: „Kiedy zaczniemy bombardować (Paryż), o tem nie może nikt jeszcze nawet Moltke, dokładnie powiedzieć. W ogóle wszyscy i sztab generalny nie są za bombardowaniem; przypuszczają, iż dojdzie się do celu prędzej i bez większej straty w ludziach, przez ogłodzenie...“

Oto próbka owych listów, które całe są w tym drobiazgowym tonie trzymane.

Rozmaitości.

— **Oryginalna reklama.** Wiek nasz jest erą reklamy, panującej wszechwładnie w najrozmaitszych dziedzinach. Każde ogłoszenie stara się zwrócić uwagę oryginalnością formy lub treści. Wyzyskano już tyle pod tym względem pomysłów, że trudno istotnie wynaleźć coś nowego. Sztuki tej dokazał właściciel londyńskiego hotelu, który w następujących słowach poleca się publiczności. *The Bus Hotel.* Wygody, jak we własnym domu, bez żadnych kłopotów. Jeśli któremu z gości nie podoba się rozkład lub nawet struktura gmachu, zmiany zostaną zaprowadzone wedle jego wskazówek. Każdy z gości będzie miał pokój narożny frontowy, na pierwszem piętrze. Każdy numer ma odrębny salon, jadalnię, łazienkę, bilard, restauracyę, biuro pocztowe i telegraficzne. Przy drzwiach każdego pokoju stoją: pastor, lekarz, aptekarz, praczka, dwóch posłańców i trzech kelnerów. Dzieci są bardzo pożądane: prosimy, aby przybywały z piłkami, skakankami, scyzorykami. Specyalne meble z drzewa różanego są przeznaczone do strugania dla chłopców, którzy lubią się oddawać tej rozrywce. Na najpyszniejsze meble wolno wskakiwać z nogami, rzucać w nie resztkami od obiadu, walić rękami i nogami w fortepiany pierwszorzędnych fabryk. Wszystkie damy, przybywające do naszego hotelu, uważane są za piękności, każdą będzie otaczał rój wielbicieli. Prosimy o przywożenie psów. Panowie mogą wszędzie palić, pić i spluwać. Właściciel hotelu będzie zaszczycony, jeśli goście mu będą zarzucali, że jego wina są — lurą, jedzenie trucizną, a on sam łotrem, przedstawiającym rachunki — aptekarskie, że powinien siedzieć w kryminale, jeśli mu zapowiedzą, że w pismach ostrzegą wszystkich znajomych i przyjaciół, aby stronili od tego przeklętego hotelu.

James Watts, właściciel The Bush Hotel.

— **Kobiety egzotyczne.** Ceniony archeolog i podróżnik, pułkownik br. Korff, jest również niezmordowanym podróżopisarzem. Pomimo ósmego krzyżyka, który mu barki przygniata, podróżuje baron bez przerwy i wrażenia swe streszcza w opisach bardzo chciwie czytanych przez publiczność niemiecką. Ostatniemi czasy br. Korff poświęcił cały tomik kobietom egzotycznym.

Podróżopisarz zaczyna rzecz swą od Japonek, które widocznie szczególnymi cieszą się względami sędziwego podróżnika. Mieszkanki państwa mikada odznaczają się więc wdziękiem i uprzejmością, podbijającą od razu cudzoziemca. Nawet dziewczęta w kawiarniach — a raczej herbaciarniach, bo Japończyk przeważnie herbatę pija — zwracają na siebie uwagę umiejętnością zachowania kobiecości nawet przy zajęciu tak ryzykownem, jak usługiwanie w miejscu publicznem. W chwili wkroczenia cudzoziemca do herbaciarni młode Japonki biorą go w czułą opiekę: ocierają mu pot z czoła, podają herbatę mrożoną lub limoniadę, obsypują gościa wyrzutami że w taki upał puszcza się na wędrówkę, przynoszą wachlarze, wachlują przybyłego niezmordowanie, poprawiają poduszki na siedzeniu — i to wszystko bezinteresownie, nie ma bowiem zwyczaju wynagradzania osobno dziewcząt usługujących, a raczej podejmujących gości w herbaciarniach japońskich.

Śpiewaczki i tancerki w herbaciarniach japońskich należą do najładniejszych okazów rodu niewieściego. Na drobnej twarzyczce o misternych rysach widnieje prawie zawsze wyraz niezwykłej powagi, zadumy, nielicujący z wesołemi piosenkami lub swobodnym tańcem. Na każdej główce wznosi się misterna budowa z kruczych włosów, wysmarowanych białkiem jaja, a upiętych za pomocą długich szpilek w formy kwiatów. Ubranie tworzy zawsze długa suknia jedwabna wiecznie jednego i tego samego kroju, przybrana szerokiemi szarfami ze wstążek również jedwabnych, upiętych w bufy na ramionach i na plecach.

Do tańców, cieszących się w Japonii największą popularnością, należy t. zw. taniec herbaciany. Jestto właściwie scena mimiczna, urozmaicona tańcem. Tancerka ubiera się w kostyum, noszony przez robotnice w polu przy zbieraniu herbaty, okrywa głowę chusteczką, aby się ustrzedz od palących promieni słonecznych, i zaczyna obrywać listki, zbierać je, rozpościerać, suszyć, sortować, próbować, pakować. Całe, jednem słowem, procedura przygotowywania herbaty na sprzedaż. Taniec składa się z szeregu ruchów rytmicznych, przedziwnie miękkich i harmonijnych. Przez cały czas tańca widz ani razu nie dostrzeże stopy, ruchy zaś górnej części ciała przypominają tańce bajaderek indyjskich.

Mimiczną raczej sceną jest również taniec zwany „Opuszczona“. Tancerka kładzie dwa wachlarze na podłodze, następnie w takt muzyki podnosi jeden z nich i mimicznie wyjaśnia, iż jest naiwną, niedoświadczoną, młodą i piękną. Następnie przez nieuwagę nadeptuje na wachlarz drugi. Wyraz twarzy tancerki zmienia się na zadumany, zakłopotany wreszcie bolesny i rozpaczliwy. Po różnych perypetyach tancerka przykrywa drugi wachlarz pierwszym i odzyskuje powoli wesołość, naiwność, niedoświadczenie. Wachlarz pierwszy symbolizować ma cnotę, drugi niecnotę. Scena zaś mimiczna ma za zadanie dowieść, jak dobrze jest kobiecie z cnotą na świecie, jak gorzko i rozpacznie z niecnotą.

Daleko mniej sympatyczne są Chinki, które zresztą zajmują w państwie niebieskiem daleko niższe stanowisko społeczne, niż w Japonii. Chińczyk ma wprawdzie jedną tylko żonę, ale, gdy jest bezdzietną, ma prawo wziąć drugą, która jednak pozostaje względem pierwszej w stosunku zależności służebniczej, dopóki nie ma dzieci. Odkąd je ma, staje się panią w domu, a pierwsza żona schodzi na stopień służebnicy. W dwunastym roku życia uważana jest Chinka za zdolną do wstąpienia w stan małżeński. Związek omawiany i decydowany bywa przez rodziców, bez udziału przyszłych małżonków. Wszystko to nie rokuje Chince w pożyciu domowem bytu na różach.

Obowiązkowe od lat 250-ciu krępowanie nóg dziewczętom chińskim sprawia, iż o wdzięku ruchów chinki mowy nawet być nie może. Są to raczej kaleki, chodzące na koniuszkach kości nożnych. Nie ma zaś nic wstrętniejszego, jak kobieta chińska w grubej żałobie. Osobliwy zwyczaj każe, aby żałujący zmarłego spadkobiercy nie myli się aż do chwili ukończenia się sześciotygodniowej żałoby. Można sobie wyobrazić, jak wygląda chinka po stracie męża lub ojca. Brud, starają się chinki pokrywać warstwami szminek, co, rzecz oczywista, zwiększa tylko obydę.

Hinduski za to należą do najpiękniejszych kobiet świata, o ile są bardzo młode. W podróży z Madrasu do Kalkuty, widział baron Korff na statku dwie tak piękne żony radży, iż nawet majtkowie prości stawali przed nadobnemi niewiastami w niemym zachwycie. Nic to, że płeć hinduski ma barwę czekoladową, dzięki dziwacznej modzie barwienia skóry ciemnemi barwami. Umieją się one ubierać z takim doborem kolorów materyj, iż czekoladowa cera podnosi wartość estetyczną całości. Nie ma za to nic brzydszego pod słońcem, jak podstarzałe bajadery. To wprost czarownice, nie przekwitłe już, ale zwiędłe. Wszędzie, gdzie tylko jest możliwe, noszą ozdoby złote, tombakowe, lub mosiężne: dyademy na głowach, ogromne pierścienie w uszach, na nosie i na szyi, węże złociste, pierścienie na wszystkich palcach, monety we włosach. Wszystko to brzęczy przy najlżejszym ruchu, a błyszczy oślepiająco w promieniach słonecznych. Z tańców najpopularniejszym jest „wężowy“. Taniec zresztą bajader należy do szczegółów rytuału religijnego, dochodzi więc szczytów doskonałości pod względem wygimnastykowania członków i harmonii całości.

Również przepiękne kobiety znajdziecie u Parsów, czcicieli ognia. Bogaty strój kobiet tamtejszych podnosi wdzięk wrodzony. Materye, używane na odzież, są często przetykane szczerem złotem, a obfitość szafirów i turkusów na kobietach z ludu zdumiewa.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 9 czerwca.

(Z) W gorączkowem oczekiwaniu przeszedł dla giełdy dzień dzisiejszy. Dziś bowiem oczekiwano na pewno załatwienia przesilenia węgierskiego. Wiadomość o decyzyi Monarchy nadeszła dziś rzeczywiście, ale już po zamknięciu giełdy, to też wrażenie tego wypadku nie znalazło jeszcze wyrazu w dzisiejszych kursach giełdowych. P. Wekerle pozostaje nadal prezesem gabinetu, a p. Szilagyi ministrem sprawiedliwości. Jest to najpomyślniejsze załatwienie, jakiego międzynarodowe sfery finansowe spodziewać się mogły, to też niewątpliwie ożywi się teraz ruch na giełdzie, chociaż nie tak, jakby to miało miejsce w innej porze roku. Matadorowie bowiem, nadający ton giełdzie, rozpoczną niebawem swój letni wypoczynek, br. Albert Rotszyld już wyjechał na wieś, pozostaną więc tylko tłumy drobnych spekulantów, operujących z dnia na dzień. Dzisiejsze zamknięcie kursów, jak rzekłem, miało miejsce przed nadejściem z Pesztu depeszy o nominacyi nowego gabinetu, w każdym razie dowodzi ono, że w sferach giełdowych wietrzono, że taki a nie inny będzie nowy gabinet węgierski, gdyż kursa prawie na całej linii są wyższe od wczorajszych i przedwczorajszych. Na targach zagranicznych panowało dosyć silne usposobienie, a renta włoska podniosła się w cenie, z czego wnoszą, że i kryzis włoska załatwioną zostanie po myśli sfer finansowych. Specyalnym motywem dzisiejszej zwyżki renty włoskiej była wiadomość, że Crispi podobno na seryo odstępuje od zamiaru podwyższenia w tym roku podatku od włoskich kuponów. Ostatni wykaz banku angielskiego wykazuje ogromne zwiększenie się zapasów kruszcowych tego banku. Wynoszą one 37.06 milionów funtów szterlingów, a zatem są prawie o 50% wyższe od całej cyrkulacyi banknotów angielskich, wynoszącej niespełna 25 milionów. Na wzmiankę zasługuje jeszcze fakt, że obligacye bułgarskie po dymisyi Stambułowa od kilku dni stale idą w górę.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 351·50, węgierskie 435·25, Anglobanki 151·20, Uniony 259·25, Bankvereiny 127·23, Länderbanki 247·—, Ludwiki 215·75, Czerniowieckie 277·—, Elbethale 261·25, Renta papierowa 98·35, srebrna 98·25, austryacka złota 120·75, 4% austr. renta wal. kor. 97·90, węgierska złota 120·70, 4% węgierska renta wal. kor. 94·95, dukat 5·90—, 20-frankówka 9·96—, marki 12·26, rubla 1·34¾.

Telegramy „Przeglądu“.

Peszt 11 czerwca. Cesarz powraca dziś wieczorem do Wiednia i aż we wrześniu przyjedzie znowu do Węgier.

Cesarz zamianował już nowy gabinet pod prezydencyą p. Wekerlego. — Z dawnego gabinetu wystąpili: minister oświaty i wyznań hr. Csaky, minister rolnictwa hr. Bethlen i minister na dworze cesarskim hr. Ludwik Tisza. Tekę oświaty i wyznań powierzono hr. Eötvösowi, teki rolnictwa na razie nie obsadzono, lecz powierzono ją prowizorycznie ministrowi obrony krajowej br. Fejervary'emu, a ministrem na dworze cesarskim został hr. Juliusz Andrassy, syn byłego kanclerza. Minister sprawiedliwości p. Szilagyi pozostał nadal w gabinecie.

Cesarz przyjmował wczoraj deputacyę stołecznej rady miejskiej, która wyraziła mu radość swą z pobytu Najj. Pana i dziękowała za pomyślne załatwienie sprawy przeniesienia koszar po za obręb miasta. Na przemowę burmistrza odpowiedział Cesarz, że z zadowoleniem przyjmuje do wiadomości zapewnienie o wierności i przywiązaniu ludności stolicy i że także nadal przy każdej sposobności popierać będzie interesa stolicy. Przemowę Cesarza przyjęli zebrani gromkimi okrzykami „Eljen“.

Wczoraj otwarto tu międzynarodową wystawę motorów elektrycznych dla drobnego przemysłu.

Rzym 11 czerwca. Przesilenie gabinetu jeszcze nieskończone, gdyż Crispi, zanim powźmie stanowczą decyzyę, chce wprzódy porozumieć się z b. ministrem spraw zagranicznych Brinem, który przybyć ma dziś z Medyolanu.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona na siebie za nią żadnej odpowiedzialności.

Wiedeń dnia 11 czerwca. (godz. 11 w połudn. Kredyty 351.25, kred. węgierskie —.—, Anglob. 151.25, Uniony —.—, Bankvereiny —.—, Länderbanki 246·90, Akcye tytoniowe 214·50, Staatsbahny 341·—, Lombardy (z kap.) 108.50 Elbethale —, Renta papierowa —.—, Renta węg. 4% kor. —·— Renta węg. złota 4% —.—, Alpiny —.—, Marki 61·30, Losy tur. —.—.

Lwów dnia 11 czerwca. (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 214·50 do 217·50. Kolej Lwow.-Czern. Jassa po 200 zł. w. 276.— do 279 —. Banku hipotecznego po 200 zł. w. a, od 414·— do —·—.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. gal. 5% losow. w 40 lat. 101·10 do 101·80, 5% z 10% prem. 109·80 do 110·50, 4½% los. w 50 lat. 100·— do 100·70. Banku krajowego 4½% los. w 51 lat. 100·30 do 101.—. Banku krajowego 4% los. w 57 lat. 97·25 do 97.95 Tow. kredyt. gal. ziemsk. 4% (I. emisya) 98·10 do 98·80. 4% los. w 41½ lat. 98.10 do 98·80, 4% los. w 56 latach 97·40 do 98·10. 4½% los. w 52 lat. —·— do —.—.

Obligi za 100 zł.: Galic. funduszu propinacyjnego 4% 96·90 do 97.60. Bukow. funduszu propinacyjnego 5% 101·80 do 102·50 Kom. banku krajowego 5% w. a. II. em. 102·80 do 103·—, Pożyczki krajowej 6% 100·— do —·—, 4½% 100·— do 100·70 4% z roku 1891 96·75 do 97·45 4% z roku 1893 97·— do 97·70.

Monety. Dukat cesarski 5·86 do 5·96 Napoleondor 9·91 do 10·01. Półimperyał 10·10 do —.—. Rubel rosyjski srebrny czy papierowy 1.33 — do 1.35 — 100 marek niemieckich 61·05 do 61·45.

64)

KRÓLOWA ZŁOTA.

POWIEŚĆ

PAWŁA d'AIGREMONT.

(Ciąg dalszy).

Hrabina, rozgniewana z powodu straty czasu, zaledwo powstrzymała się od wyrażenia swego gniewu i kazała się zawieźć do mieszkania pana de Combremont.

— Pan sędzia obiaduje dzisiaj w mieście — oświadczył jego lokaj.

— U kogo?

— U pana prezesa.

— Daj mi papieru i atramentu — odrzekła — tylko prędko, gdyż nie mam czasu.

Lokaj, znający stosunek przyjacielski, łączący jego pana z hrabiną de Rochebelle, poprosił ją do gabinetu.

Hrabina napisała kilka wierszy i oddając mu bilet, rzekła:

— Weź mój powóz, jedź do swego pana i oddaj ten bilet we własne jego ręce. Jest to interes bardzo pilny. Powiedz, że czekam na odpowiedź.

Pomimo pośpiechu służącego, upłynęło znowu półtorej godziny.

Nadina wrzała z niecierpliwości.

Nakoniec wszedł Maurycy.

— Co pani mówi? — zawołał od progu — Teresa zniknęła?

— Helena wykradła ją.

— Ależ to rzecz niemożliwa!...

— Możliwa, skoro tak jest.

— W jakim celu?

— Wczoraj oświadczyłam jej, że pragnę sama pielęgnować jej siostrę, co zresztą jest rzeczą bardzo naturalną. Bo niech pan pomyśli tylko: widzieć ją w takim stanie i być systematycznie usuwaną od niej przez Helenę, tak dalece, że muszę przez służbę zasięgać wiadomości o jej zdrowiu, czyż to nie jest najstraszniejszem cierpieniem dla serca matki?

— Rozumiem panią i podzielam jej boleść. Ale nie pojmuję, w jakim celu Helena wykradła siostrę?

— Rzecz bardzo jasna. Helena kocha się w Robercie, zabójcy jej siostry i czy naprawdę nie wierzy w jego winę, czy też postanowiła w każdym razie ocalić go, dość, że nie chce, aby Teresa po wyzdrowieniu obwiniła go równie kategorycznie, jak czyniła to dotychczas.

— Ma pani słuszność.

— Napewno tak jest. Albo Helena wyleczy swą siostrę i przez przywiązanie, jakie łączyło je zawsze, skłoni ją do milczenia lub zaprzeczenia tego, co tak kategorycznie dotychczas oświadczała, albo też nie chce, aby nawet podczas obłąkania Teresa oskarżyła Roberta w sądzie.

— To być może — odrzekł sędzia. — Ale niech pani będzie spokojna, nietrudno będzie je odszukać. A ponieważ hrabia de Rochebelle i pani jesteście w nieobecności męża prawnymi opiekunami Teresy, więc będzie wam oddaną.

Czarne oczy Nadiny błysnęły radością.

— Dziękuję — odrzekła. — Lecz by zapewnienie pańskie sprawdziło się, należy się śpieszyć. Nikt ze służby nie widział dziś ani moich córek, ani miss Andrew. Musiały więc wyjść z pałacu bardzo wcześnie i przynajmniej przed szesnastu godzinami, gdyż już dziesiąta. A taka sprytna dziewczyna, jak Helena, mogła korzystać z tego czasu.

— Niech pani będzie spokojną — odrzekł sędzia z gestem lekceważenia. — Posiadamy środki takie, wobec których energia panny Rochebelle niewiele może znaczyć.

— Niech panu Bóg pomaga!

Maurycy powstał.

— Tutaj nic nie mogę zrobić — rzekł — więc pójdę do kancelaryi i postaram się zobaczyć z panem Gervais. Jutro powinienem już mieć wiadomości pewne, i mam nadzieję odesłać córkę pani pod jej opiekę.

Nadina odprowadziła pana de Combremont do Pałacu Sprawiedliwości, a następnie wróciła do siebie.

Dla upewnienia się zaszła jeszcze raz do pokoju Heleny, lecz nie zastała nikogo. Więc nie było wątpliwości, że podejrzenie Nadiny było uzasadnione, że Helena wykradła swoją siostrę.

Nagle hrabina uderzyła dłonią w czoło. Pewna myśl przyszła jej do głowy.

— Czy tylko pani Jacobsen nie pomagała jej w tem, bo jeżeli tak było, to owe wszechwładne środki, o których mówi pan de Combremont, rozbiłyby się o jej potęgę.

Hrabina przepędziła tę noc jeszcze gorzej niż poprzednią. Zasnęła o świcie i spała krótko i niespokojnie. Ponieważ o dziewiątej nie otrzymała od pana Combremont wiadomości, udała się więc do niego. Zastała go już w gabinecie w towarzystwie pana Gervais, który powiadamiał go o szczegółach, zdobytych przez swych ajentów.

Po przywitaniu Nadiny opowiadał dalej.

— Helena, Sybila i Teresa rzeczywiście wyszły z pałacu pomiędzy godziną piątą i pół do szóstej rano, wzięły fiakra na bulwarze Saint-Germain i kazały się zawieźć na przedmieście Poissonnière do baronowej Jacobsen.

Hrabina, usłyszawszy to nazwisko, zbladła jak płótno. Tego właśnie obawiała się najwięcej. Bo jeżeli Paulina wdała się w tę sprawę, udzielała rad i pomocy pieniężnej, to ani pan Combremont pomimo całej swej władzy, ani pan Gervais ze wszystkimi ajentami swymi nie zdołają odszukać Teresy.

Szef bezpieczeństwa publicznego spostrzegł to wzruszenie hrabiny. Siwe oczy jego błysnęły poza szkłami okularów, ale je przymknął natychmiast, aby się nie zdradzić i opowiadał dalej.

— Więc panie te przed szóstą przybyły do pani Jacobsen? — zapytał pan Combremont.

— Tak, przed szóstą.

— I mimo tak wczesnej pory były przyjęte?

— Musiały być przyjęte, skoro pozostały w pałacu. Woźnica, którego jakiś wypadek zatrzymał przy powozie, dopiero w pół godziny odjechał z miejsca i nie widział ich wychodzących.

— Cóż dalej?

— Nie wiem, co nastąpiło dalej. Od służby pani Jacobsen niepodobna dowiedzieć się czego. Badać jej służących jest to samo, co pytać głuchych i ślepych.

Nie widziano nikogo wychodzącego z pałacu, ale około godziny siódmej trzy miejsca w oddziale salonowym pociągu lyońskiego zamówiono dla pani Jacobsen. O ósmej służący przywiózł rzeczy i zapytywał o przedział zamówiony. Urzędnik kolejowy wskazał mu go.

— A zawiadowca nie widział, kto wsiadł do tego przedziału?

— Zawiadowca z powodu choroby nie był obecnym przy odejściu pociągu, a pomocnik jego i inni urzędnicy na wagon ów nie zwracali uwagi. Przypominają sobie jednak, że jakaś dama dobrej tuszy, z włosami siwemi, ubrana czarno zajęła miejsce przy oknie.

— To pani Jacobsen musiała pojechać z niemi — zawołała Nadina.

— Dokąd wzięte były bilety? — zapytał pan Combremont.

— Do Nizzy.

— One musiały wysiąść przed Nizzą! — zawołała znowu hrabina. — Helena jest zbyt przezorną, aby tak długo miała jechać koleją żelazną.

Oczy pana Gervais błysnęły znowu.

Widocznie miał przed sobą przeciwnika nie byle jakiego.

Odrzekł jednak spokojnie:

— W Lyonie, dokąd pociąg przybył o piątej minut dwadzieścia pięć wieczorem, równie jak i na stacyach poprzednich, nie zauważono wychodzących z pociągu trzech kobiet.

— A w Marsylii?

— Do Marsylii pociąg pospieszny przychodzi w nocy o pół do dwunastej, a jednocześnie i kilka pociągów z innych linii, więc urzędnicy kolejowi nie mogą pamiętać wszystkich przybywających osób.

— Czy jest pan pewny, że informacye pańskie są wiarygodne? — zapytał pan Combremont.

— Jestem najpewniejszym. Zresztą, oto depesze, jakie otrzymałem, niech pan je przejrzy.

— To niepotrzebne; polegam zupełnie na pańskich słowach.

— Cóż odpowiedziano panu z Nizzy? — zapytała zaniepokojona hrabina.

— To samo co i z Marsylii. Pociąg ten, zmieniający się już w Marsylii na zwykły pasażerski i przybywający o godzinie szóstej minut dziesięć rano, mieści w sobie zwykle bardzo wielu pasażerów, a w tak hałaśliwym i ruchliwym tłumie trudno zauważyć kogo. Sądzę przecież, że dobry agent mógłby tam odszukać pewne ślady. Jeżeli pan sędzia chce, to mogę tam posłać kogo.

— Owszem, proszę bardzo, ale zarazem i do Marsylii i do Lyonu.

Pan Gervais, usłyszawszy tę ostatnią nazwę, lekko zadrżał, ale nikt tego nie zauważył, w tejże chwili bowiem głosem spokojnym rzekł:

— Do Marsylii — rozumiem, ale do Lyonu sądzę, iż nie ma potrzeby, depesza bowiem stamtąd twierdzi kategorycznie, że nie widziano tam żadnej grupy z trzech kobiet, wychodzących z pociągu, o którym mówimy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor **Wacław Masiewski.** Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni sor. W. Maniecкiego. — Zarządca T. Hodak.